1844. Nra 8 i 9. ROK 3.

Redaktor Główny Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

O NIEZBADANYCH DOTĄD SPOSOBACH

powstawania istot organicznych. [*]

Od czasu, kiedy Goedart, Redi, Swammerdam i inni, przekonali świat uczony, że owady nie ze zgnilizny i prochu lęgą się, jak nauczał Arystoteles, lecz sposobem wielu innych zwierząt z jaj się wylęgają, zdawało się już, że rozum ludzki wszystkiego dociekł, coby

(*) Artykuł ten umyślnie dla pisma naszego skréślony przez Doktora Galli, zwolennika niegdyś Bessera i słuchacza Akademii Wileńskiéj, — raczył przejrzéć i nomenklaturę polską dodać, jeden z najpiérwszych naturalistów polskich, któremu za to składamy tu należne dzięki. *(Przyp. Red.)*

ręczyło za powszechność prawidła, iż wszelka na ziemi istota żyjąca, z zarodu jedynie począć się może. Niebawem jednak zapytano się, skąd powstaje robak, który wewnątrz muskułu albo mózgu innego zwierzęcia swéj zupełności dorasta? z czego się bierze pleśń na każdém organiczném ciele gnijącém, albo ta zielona materija (materija Priestleja), niezaprzeczenie roślinna, która powstaje na wewnętrznych bokach naczynia szklannego, gdy długo w niém, nawet najczyściejsza woda postoi? Gdy we wszystkich zdarzeniach podobnych nadaremnie zaród śledzono, przypuścili jedni, że mogą być zarody niedościgłe dla naszych sposobów widzenia; drudzy, że w pewnych okolicznościach i zdarzeniach *bez zarodu życie powstać może*, czyli, że dobrowolne rodzenie się istnieje. A lubo dzisiejszy postęp obserwacyj więcéj na stronę piérwszych przemawia, ciekawą wszakże jest rzeczą, wiedzieć, co na swoję stronę przytaczają drudzy.

1. Rodzenie się dobrowolne *(Generatio heterogenea, aequivoca, primitiva, spontanea)*, mówi jeden ze stronników tego przypuszczenia, jest-to powstanie istoty żyjącéj, nie za pomocą drugich podobnych indywiduów, lecz pod wpływem ciepła, światła, wilgoci i powietrza, a razem materyi organizującéj się— jest-to zatém rodzenie się bez rodziców — stanowi ono jakby organiczną fermentaciję, gdyż do jéj powstania trzeba wszystkich warunków, nieodbicie potrzebnych do fermentacii — Dążenie massy organizującéj się jest tu pewne, niezmienne, zacząwszy od najniższéj budowy chaotycznéj, którą stanowi materija zielona Priestleja.

2. Zdaje się, że piérwsze ogniwa łańcucha organizacii nie są pojedyncze, jak dawniéj sądzono, ale na dwoje się dzielą: rozumiem przeto, iż rośliny nie stanowią stopni przejścia do zwierząt, ale stoją obok nich, mają odrębne dążenie, odrębny początek i koniec; czém albowiem w zwierzętach są zwierzątka chaotyczne, tém w roślinach glony *(Conferva)* inne niższe, np. pleśnie; jak łańcuch zwierząt kończy się najwyż-

szą budową człowieka, tak roślin familije wyższe mają podobnież swe ostateczne indywidua, ale których doskonałość zupełnie jest przeciwna doskonałości zwierząt. Można powiedzićć raczéj, że w ogromnéj pracowni natury, siła jéj płodności wyzewnętrznia się promieniami wielu utworów; a każden z nich jest jednym, wyłącznym kierunkiem tego usiłowania. Promienie te w samém swém ognisku schodzą się z sobą, a im się bardziéj schodzą, tém twory położone na ich punktach podobniejsze są do siebie; zdają się nawet być tém samém. I dla tego to Polipy, uważane za najniższe zwierzęta, uznane są powszechnie za punkt przejścia z budowy roślin do zwierząt, choć nieskończenie są niższemi od roślin wyższéj organizacyi. —

3. Zaród piérwszego powstania wszystkich ciał organicznych, jest bezwątpienia w generacii dobrowolnéj, siłą jéj nie tylko niższe twory, ale nawet wyższe powstać mogą—Ciała pod bodźcami zewnętrznemi organizowane i znowu psujące się, musiały się stać zarodem nowéj organizacii, bo materija wieczny ma do niéj popęd — tym sposobem fermentacija jest piérwszą przyczyną budowy tak rozlicznéj tworów. Fermentacija ta w samym zarodku tworzenia, tu, gdzie materija jest najprostszą, a pęd organizacyjny najbardziéj pojedynczy, musiała obudzać fenomena i produkta zupełnie prawie nieróżniące się od tych, jakie podciągnięte są pod prawa chemiczne gnicia i fermentacii — musiało tu więc tylko nastąpić przekształcenie massy fermentującéj, wyziewanie części niepotrzebnych i produkt tém prostszy, im czas do jego tworzenia byl krótszy czyli, co jedno jest, im materija fermentująca była prostszą. — Taką piérwszą fermentaciją organiczną widzimy na formowniu się pleśni — pleśnie, po zostawieniu ciał gnijących pod wpływami wzbudzającemi fermentaciją, natychmiast pokrywają jéj powierzchnię tém obficiéj im bardziéj przyczyny wzbudzające były natężone w działaniu. —

4. Im ciało fermentujące więcéj w sobie ma popędu do fermentacii, tém łatwiéj dobrowolne rodzenie się roślin

powstaje, i przeciwnie, im jest mniéj ciała fermentującego, im bodźce zwyczajne działają powolniéj, tém pewniejszém jest dobrowolne rodzenie się zwierzęce. Przyczyna tego zdaje się być położoną w téj prawdzie, iż siła organizująca jest w stosunku odwrotnym massy — materija, bowiem, ma popęd organizacyjny wielki; skoro zatém znajdzie się w okolicznościach sprzyjających, natychmiast przyjmuje kształt organiczny:— *roślinny*, jeżeli siła organizująca nie była natężoną, co się dzieje wówczas, kiedy materija fermentująca i bodźce zewnętrzne szybki dają popęd; *zwierzęcy*, jeżeli ciała fermentującego było za mało, lub bodźce zewnętrzne nie sprzyjały szybkiemu organizowaniu się, w tym razie czynność siły organicznéj natęża się tu w miarę oporu materij, a każde podwojenie oporu w następstwie miało wyższość budowy. — To jest przyczyna, dla czego *np.* mąka, w wielkiéj ilości rozbita na miękisz i zostawiona pod warunkami fermentacii, wkrótce pokrywa się pleśnią, kiedy tymczasem mała ilość ziarn zboża w wielkiéj ilości wody zostawiona, po dłuższym czasu przeciągu, daje początek zwierzątkom chaotycznym — w piérwszym bowiem razie, gdyby wszystko sprzyjało fermentowaniu, siła zatém organizująca działała w nazbyt prostym kierunku, w drugim, kierunek ten był zawilszy, natężenie jéj mocniéjsze i bardziéj stanowcze.

5. Pewném to jest wszakże, iż, nie same tylko ciała wyraźnemu gniciu ulegające, mogą dać początek rodzeniu się dobrowolnemu; marmur bowiem, granit, baryta i t. d. nalane wodą dystyllowaną, po niejakim czasie dały także jego ślady. Należy zatém wyznać, że woda i powietrze już są dostateczne do jego obudzenia, nie, jak sądzą niektórzy dla tego, iż kryją w sobie nasiona tych-że tworów, które, że są także istotami organicznemi, a następnie także rozkładowi ulegają, rzeczą jest najprawdopodobniejszą, albowiem Fraj, Terechowski, Treviranus i inni, używali wszystkich sposobów zapewniających nieprzytomność zarodka tych istot w wodzie i powietrzu, nigdy

jednak tworzeniu się ich nie przeszkodzili. — Z drugiéj strony nie zawsze powietrze i woda do tego są potrzebne — powstają bowiem niekiedy w miejscach, do których jedno i drugie przystępu nié ma; nie same tylko rośliny gnijące, ale nawet zwierzęce części, szybko rozkładające się, im ulegają. Mejer na płucach sójki *(Corvus glandarius)* znalazł pleśń zaraz po śmierci tego ptaka. — Jäger także pleśń widział w drogach oddechowych u świni. —

6. Powstawanie roślin przez rodzenie się dobrowolne, jakkolwiek prawie jest przypadkowe i w dążeniu swojém na pozor nieoznaczone, a trwania zbyt krótkiego, jednakże są pewne gatunki pleśni roślinnych, przywiązane stale do jednych rzeczy. Pleśnie te są jakby pasożytami tych ciał, co karmią je, pewien i niezmienny im kształt nadają: *np. Sphaeria enotomorrhiza* i *militaris*, *Isaria Sphingum* rosną tylko na zwłokach gąsienic motylowych, os i świerszczów — *Onygena equina* pokrywa kości końskie — *Racodium cellare* trzyma się stale lochów i beczek od wina — Niekiedy są jakby wyłączne jednemu tylko miejscu. Burdach mówi, że w Paryżu w Hotel-Dieu rosła na podwalinach pewna pleśń, nigdzie nie rosnąca więcéj.

7. Zdaje się, że naturalna fermentacija roślin mocnych, jak drzew, pod wpływem wilgoci nieraz przemieniła-by je całkiem w podobne twory roślinne, gdyby z drugiéj strony silne skupienie nie stało na przerzkodzie — widzieć to można na wyprawie ścian w wilgotnych jaskiniach, których tynk, dopóki silnie ścian trzyma się, powierzchnię zwykł tylko mieć spleśniałą, skoro zaś opadnie, w krotkim czasie w całéj prawie massie przemienia się w substanciją pleśni.—Zdaje się, że próchno drzewne za nic więcéj nie powinno być uważane, jak za pleśń swego rodzaju, przejmującą całe pnie nieraz — świecenie jego nocą zależy bowiem od skupienia światła, w bardzo delikatnych i gołém okiem niedostrzeżonych członkach tego organizmu samoistnego, który, jak każdy niedoskonały, silnie pochłania światło, jako substanciję najprzenikliwszą, niezdolny do żywienia

się innéj grubszéj natury pokarmami—Swiatło to przepełniające je, nocą wyziewane, stanowi fenomen fosforescencyi, wyłączny próchnu doskonałemu, w całéj massie jednostajnemu; kiedy tymczasem nié ma go tam, gdzie massa drzewa prostéj ulega zgniliznie i zamienia się w materiję ziemną.

8. Formowanie się próchna, ten wielki fenomen fermentacii roślinnéj, słusznie może się zaliczyć do gieneracii dobrowolnéj: jest ono tak ważne w państwie organiczném, tak nieraz dobroczynne, iż śmiało można powiedzieć: stanowi punkt, gdzie natura najsilniéj pracuje, gdzie nieraz olbrzymim sposobem działa i jenialnych używa sposobów, ażeby ten ważny proces szybko do skutku doprowadzić.—Silna roślinność, właściwa wielu miejscom Ameryki północnéj, w wiecznéj trwa równowadze, podobno dla téj tylko przyczyny. — Gdzie olbrzymie massy drzew, i innych roślin, wiecznéj sprzyjają zgniliźnie i wyziewóm, któreby szybko świat wyludniły, rozszerzając się dalej, tam rozliczne i przyśpieszone sposoby próchnienia wszystkiemu zapobiegają. — Gatunki owadów, zwanych termitami, jak *T. bellicosus* i *typographus*, te klęski dla człowieka, w którego majątku nieszczęściem się znajdą, są przecież dobrodziejstwem dla całéj ziemi. — Nieraz mieszkańcy Brazylii całe tracą dobytki, skoro się do nich termity wniosą — widziano suknie przez nie stoczone w ciągu jednéj nocy, całe lasy upadają pod ich gryżącym pyszczkiem; — drugi gatunek zwykł tylko przecinać komunikacije soków rośliny, stoczy tylko biel i łyko, a cała roślina szybkiemu próchnieniu ulega — trawienie to jest tak szybkie, że ledwie może ogień je przewyższa, nie tyle jednak ciągnie za sobą szkody w kraju, gdzie silna wegietacija odradza z szybkością nadzwyczajną dawne straty.—

9. Nie same wszakże pleśnie i inne porosty mogą się przypisać gieneracii dobrowolnéj. Widziano i glony *(Conferva)* z rostworu solnika Baryty w wodzie wyrosłe, a Agardh postrzegał Rhizomorfy obficie znajdujące się w jaskiniach i kopalniach na 300 stóp głębokich, gdzie nic, nad trochę wilgo-

ci i powietrza, znajdować się nie mogło. — Zjawiały się nawet rośliny wyższe z koryledonami, których powstawanie zwykle przypisuje sie gieneracii dobrowolnej.— Najpodobniejszém jest do prawdy, że materija martwa obdarzona popędem do organizacii, ilekroć znajduje się w okolicznościach temu sprzyjających, zaczyna się organizować; względne położenie téj materii; okoliczności przyjazne poczęści ustąpiły, poczęści jeszcze nastąpić mogą, a w tym ostatnim razie nowe będą rodziły się istoty.— Dla tej to przyczyny, dopóki siła twórcza nie ustaje i powstanie nowych tworów ustać nie może, bo materija zawsze znajdzie się w stanie względnym, nowym dla siebie, lub przynajmniej odmiennym od piérwéj doświadczonego. — Rośliny, ten piérwszy stopień popędu organicznego, muszą zależeć od materii nieokrzesanej, z któréj powstały — kombinacije chemiczne, które one ciągle pompują i w massę swego organizmu zamieniają, są właśnie całą przyczyną ich rozmaitości. Oneto, ilekroć w pewnym niezmienianym kierunku działają, pewnym i niezmienionym roślinom życie dawać muszą. To jest zasada rośnienia roślin na pewnych, i im tylko właściwych gruntach. — Mogą jednak z przyczyn zewnętrznych, pod wpływem rewolucij ziemnych, i te kombinacije chemiczne miejsc różnych, zmienić się; w takim razie zmienić się muszą rośliny tam żyjące. — I tak *np.* Morisson w Londynie postrzegał, że natychmiast po pożarach, puszczał się obficie na pogorzeliskach gorczycznik szerokolistny *(Erysimum latifolium)*. W Norwegii uważano w podobnychże okoliczcznościach gorczycznik wąsko-listny *(Erysimum angustifolium)*, w Królewcu żmindę główkową *(Blitum capitatum)*, w Kopenhadze marzymłodek lipki *(Senecio viscosus)* — Turnefort widział w Langwedocii i Prowancii, po wypaleniu gruntów nieurodzajnych, nagle i obficie zjawiony mak czarny, który w rok potém znow zupełnie zaginął, tak jak przedtém nigdy nieróśł. — W bliskości Nassau po wypaleniu się lasów, wyrastało mnóstwo miotlichy *(Spartium scoparium)*.— Codziennie możemy wi-

dzieć, iż w przypadkach, kiedy rzeki koryto swoje zmienią, lub wyschną, łoże ich pokrywa się w wielkiéj ilości roślinami temuż gruntowi właciwemi; można było przypisać naniesieniu nasion przez ptaki lub wiatr, ale trudno na to przystać, widząc z jaką stałą punktualnością rośliny piaskowe zajmują wyłącznie część wyspu piasku, naniesionego wodą, tymczasem w około na bagnisku tylko bagienne rosną zioła. — Turnefort mówi o jedném bagnie przez sto lat suchém, a potém nagle wodą napełnionćm, w którem rośliny bagienne natychmiast się pokazały, choć nie rosły nigdzie w okolicach, jako stale suchych. — Wiborg opisuje iż w Danii, w jedném miejscu po spusczeniu stawu od 50 lat trwającego, postrzegał na wiosnę mnóstwo turzycy *(Carex Cyperoides)*, której nigdy przedtém w Danii nie było — w podobnym razie Wildenoff widział wyrosłe sitowie nadmorskie *(Scirpus Maritimus)* — Hoffman, po wyschnięciu małéj zatoki morkiéj, znajdował mnóstwo roślin, z których każda na odrębnym gruncie rosła; i tak, gdzie było wiele soli, rosł tłumnie soliróg zielny *(Salicornia herbacea)*; na czystym piasku piaskownica morska *(Arenaria marina)*, na błocie jaster nadmorski *(Aster tripolium)*, na glinie wodą pokrytéj zwyczajna przęstka *(Hippures vulgaris)* z sitowiną kupkową *(Scirpus cespitosus)*. Z tego wnieść można, że natura nie samego tylko rozradzania się używa do zapełnienia ziemi roślinami — że dotychczas może używać środków, które widziała potrzebnemi w piérwszych chwilach stworzenia ziemi — że nawet nie innym sposobem potrafimy wytłumaczyć powstanie piérwiastkowe roślin, jak tylko przypuszczając, że popęd do organizacii materii martwéj był całą przyczyną, dla któréj taż materija w różne kombinacije ukształcona, różnym dała początek roślinom — a jako ta materija mniéj-więcéj stale tworzyła kombinacije, tak też rodziła niezmienne w charakterach rośliny — dla tego-to niektóre z nich zasiewane lub pielęgnowane u nas, nie udają się, bo nie sama tylko temperatura, którą naśladować jesteśmy w stanie, do ich utrzymania wystarcza. Widzimy też jakiego losu doświad-

czają rośliny pod-zwrotnikowe w naszych cieplarniach — wiele cierpią i jak najczęściéj giną, nie mogąc się oswoić. Postrzeżenie to jest tak ważne, iż zwracając oczy na mięszaninę gruntu, więcéj możemy pomódz obcéj roślinie, niżeli ogrzewając ją sztucznie. — Jakoż widzimy wiele roślin alpejskich, które ledwo w cieplarniach zdołają się utrzymać, gdy tymczasem te, których mięszanina gruntu jest wyraźna, którą następnie łatwo można naśladować, jak *np.* grunt kredziany, te mówię rośliny, na podobną ziemię do nas przeniesione, wytrzymują najlepiéj nasze mrozy, jak *np.* wiele Solników *(Anthyllis)*, kiedy Posłonki *(Helianthemum)* najczęściéj potrzebują cieplarni. — Co więcéj, nawet rośliny krajów zimnych potrzebują u nas ciepła sztucznego; dla téj to przyczyny Azalea Pontica, Rhododendrum i inne wytrzymują 10 miesięcy mrozu w Syberii, a u nas prawie zawsze muszą być w sztuczném cieple. — Wątpić nie można, że ciepło jest jedną z najważniejszych przyczyn życia roślinnego, jednakże to więcéj zdaje się pewném, że najważniéjsze periody ich życia zależą jedynie od ziemi. — Nie o wszystkich w ogólności rozumiem to roślinach, ale o tych tylko, które powierzchnią ekscentryczną mniéj żyjąc, najwięcéj ciągną soków z ziemi, — a tu należą rośliny włosami pokryte, wszystkie prawie drzewa — rośliny trwałe, budowy mocnéj i złożonéj. — Ile ziemia ma wpływu, widzimy wreszcie na tylu przemianach, zależących od gruntu. Dłoniasty i litewski Rabarbar *(Rheum palmatum rhapontreum)* nadaremnie utrzymywano w Austrii dla korzystnego handlu; zawsze bowiem zamieniał się w płaski *(Rheum Complanatum)*, którego korzenie daleko są podlejsze od powyższych — wiadomo, że całą tego przyczyną jest grunt z rudą żelazną, któréj mięszanina nie może być, lub nie jest doskonale naśladowana w uprawie sztucznéj — każden wreszcie uważać to jest w stanie, jak często pewne rośliny znieść nie mogą obecności innych; sprawia to bezwątpienia kombinacija ziemi z innemi przyczynami. Niektórych roślin odmiany, szczególniéj na grun-

tach bardzo żyznych znajdujące się, zdają się także od niczego więcéj nie zależeć, jak od rozmaitéj mięszaniny chemicznych kombinacij; temperatura, powietrze, wilgoć, nic tu nie działają, bo nieraz dwie równe odmiany, znajdujące się na jednéj pięḑzi ziemi, Siodmaczek *np. (Trientalis Europea)* na jedném i tém samém miejscu, będzie z 6, 7 i 5 pręcikami i płatkami korony. —

10. Z tego możemy ten wielki wniosek wyprowadzić: 1, że większa podobno część roślin powstaje z gieneracyi dobrowolnéj — gdziekolwiek bowiem natura objawia nam nagle wzbudzoną roślinność, gdzie się pokazują rośliny wielkiéj ilości, nigdy tam przedtém nierosnące, nie co innego za przyczynę tego brać należy, tylko rodzenie się dobrowolne.—2. Że ta roślinność roślin, jaka dziś świat pokrywa, jest tegoż rodzenia się wypadkiem, i jeden tylko rodzaj musiał być początkowo, który przeniesiony na różne miejsca, pod wpływem różnych okoliczności, dał początek téj rozmaitości.—3. Że dobrowolna gieneracija nie ustaje, że więc z czasem nowe tworzy rośliny, i nowe, nieznane dotąd, tworzyć jeszcze będzie — 4. Że tu tak, jak i w królestwie zwierząt, wiele rodzajów zaginęło, a wiele nowych powstało, w skutek wielu rewolucij chemicznych zaszłych, i co chwila zachodzących w materii martwéj. — Ilekroć zmiany te przybierają charakter stały, a natępnie ciągle działają, zawsze muszą dać początek nowym, przywiązanym do siebie indywiduom. — Na téj zasadzie można powiedzieć, że stworzenie świata i tworów jego, ani było chwilowe ani jest skończone — jest ono szeregiem zjawień, którego początkiem była materija martwa z żądzą organizacij, a końcem będzie materija martwa, pozbawiona tego popędu. — Pośrednie punkta tego szeregu, nacechowane są pracą natury, usiłującéj albo tworzyć dalej, albo niszczyć stworzone. —

ODRADZANIE SIĘ ROŚLIN.

1. *Generatio fissipura promiscica.* Ilekroć massa przemaga nad indywidualnością, ilekroć zatém dzieło organiczne jednostajnéj jest budowy w całéj massie, zawsze tam życie nié ma środka, czyli, co na jedno wychodzi, każdy punkt massy jest równie ożywiony, równą ma siłę istnienia i rozradzania się. — Rośliny, podobnie jak niektóre zwierzęta, mają tę własność odpowiednią niższym stopniom organizacii, z tą różnicą, że jak w zwierzętach własność ta dość jest rzadką, lub ograniczoną, tam gdzie się znajduje, tak przeciwnie w roślinach jest jedną z charakterów głównych, jest sposobem, który częstokroć natura wybiera do rozmnożenia indywiduow. Rozmnożenie się polipów jest prawie jedynym tego przykładem między zwierzętami, w wyższych zaś tworach zdarza się chyba pod postacią uporczywego życia, lub odradzania się niektórych części zwierzęcych, jak *np.* ogona u jaszczurek. — Podzielność i życie uporczywe u roślin zachodzi nierównie daléj, i tak niektóre mchy, swoją powierzchnią ciągnące pokarm i złożone z tkanki komórkowéj w całéj massie, zdolne są rozdzielać się na części, z których każda równy ma popęd i zdolność do utrzymania życia — każdy w nich punkt, że tak powiem, ma osobną siłę życia, i w miarę, jak inne sposoby rozmnażania się, wyższym właściwe roślinom, odcięte im zostały, generacija cząstek powiększa się; obaczymy niżéj, że osad w komórkach będący, zdaje się być całą tego przyczyną —

Rozradzanie się to w roślinach wielu ulega modyfikacijom. Bywa: a) ogólną, gdzie każda cząstka rośliny własność tę posiada; wielka część grzybów i purchawek tym się sposobem łatwo rozmnaża. b) Generacija podłużna, *generatio fissipaza, longitudinalis*, gdzie cząstki podłużnie oddzielone, mają siłę zamienienia się w roślinę swojego gatunku, jak jest w rodz. Bacillaria, c) gen. poprzeczna, taką najczęściéj widzimy między glonami i porostami nitkowemi — nie inna zapewne musi być tego przyczyna, jak tylko jednostajna budowa i przytomność organów życia w całéj massie roślinnéj — dziwna jest, że zawsze cząstka podłużna, mająca być zawiązkiem przyszłego organizmu, jest bardzo drobną w porownaniu części, do któréj jest przywiązaną; zdaje się, że to jest piérwszy punkt, na ktorym względny stan małości płodu, do wielkości indywiduum rodzącego, pokazuje się w szeregu tworów. We wszystkich prawie glonach, części indywiduum są członkowane, a członki wyższe oddzielają się, i nowéj dają początek roślinie, gdy tymczasem na miejscu, od którego oddzieloną została, znowu odradza się cząstka. — Na gatunku Glonu *Coneferva limosa* nazwanym, można to widzieć najlepiéj; u porostów rurkowych to samo postrzegać się daje. Leśny skrzyp, *Equisetum silvaticum*, tym sposobem może się rozmnażać. — Co więcéj, ten popęd do podzielności poprzecznéj daje się widzieć w dwuliścieniowych. U *Tillandsia usneoides np.* gałązki wiatrem porwane i przeniesione na inne drzewa, krzewią się najlepiéj.— Jak wielka jest dążliwość roślin do podobnego rodzaju mnożenia się, widzimy codziennie na wierzbach, których martwe na pozór łodygi z największą łatwością rosną. — Wszystkie sztuczne sposoby przez ogrodników używane do rozmnażania drzew, na téj własności roślin teoriję swoję opierają. — Ten popęd do orgąnizacii tak jest szybki, że nieraz listki ogonkiem w ziemię wsadzone, zdolne są do zamienienia się w roślinę mocną.

2. Inny, wyższym roślinom właściwy sposób mnożenia się, jest *gen. monogenea productiva*, i tutaj cząstki rośliny oddzielne, zdolne są utrzymać życie i w nową zmienić się roślinę — lecz tém się różnią od poprzedzających, że tu roślina jednę ma część wyłączną, która skupia cały obraz przyszłego indywiduum. Jestto więc już popęd do dalszego stopnia organizacii, choć budowa pojedyncza tych organów zbliża je bardzo do sposobów, jakie w roślinach prostéj budowy postrzegać się dają.

Galli.

Fantazija.

Róża głowę swą zarzącą,
Co miłości ogniem płonie
Wznosi; — pieśnią żalem tchnącą,
Ból śpiéwając, którym płonie,

Róża.

Kochałam wszystko, a szczęsna marzeniem,
Okręgi ziemi objęłam z miłości,
Witałam życie, z roskoszą, z radością,
A cudowność świata ze szczerém wielbieniem. —
Minęła wiosna — i szczerość młodości,
I piękność listków — z cudném powonieniem,
Minęła z piérwszych mroźnych wiatrów tchnieniem.
O! bytu róży już nikt nie zazdrości. —
Ja piérwsza dawniéj w téj łące zielonej,
Postacią, liściem i kwieciem nadobna,
Znękana'm czasem i wierzbie schylonéj,
Wpół-zmarzłéj, zwiędłej i uschłej'm podobna.
O biada! biada! gdy źródło wzniosłości,
Początek bierze li-tylko w piękności! —

Klon.

Czyjeż to skargi — tu — u stóp méj skały,
Na którěj stromym, niebotycznym szczycie,
Me świetne niegdyś przepędziłem życie!
Żałośnie z bólem i rzewnie zabrzmiały? —
Ty! nieudolna złożyłaś w piękności
Twą istność całą z szczerém zaufaniem,
Ja zaś podstawę méj świetnéj wielkości
Powziąłem wiedzą ze prawdy poznaniem. —
A gardząc czuciem i serc cnych zapałem
Przeszyłem wszystko mém bystrem spojrzeniem,
Szczyt zawiesiłem aż pod gwiazd promieniem,
I szczęścia, szczęścia nigdy nie zaznałem!
O biada! biada! gdy żródło wzniosłości
Początek bierze-li w nauk próżności. —

Dąb.

Bór szumi wiatrem, skrzypią konary,
I głos mnie mowy dolata zdaleka,
Człowiecze skargi — lecz nie głos człowieka,
Posłyszał w szumie zielony dąb stary. —
Hej różo! — klonie! — ja nad skał przełomem,
Korzeniem nisko a szczytem wysoko,
A siłą dzielny w przeszłość zwracam oko,
I zimę przetrwam, i nie drżę przed gromem,
Bo piękność zdobi me wieńce zielone,
A mądrość wiedzie mojemi ramiony.
Zalety wasze wemnie są wcielone,
Dla tego'm nad was i w życiu wzniesiony,
O błogo, błogo, gdy źródłem wielkości,
Jest piękność razem i promień mądrości. —

JESZCZE
O OCZYNSZOWANIU. (*)

Myśl o oczynszowaniu włościan wywołała rozmaite opinije, których po największéj części organem stał się Korrespondent handlowy, przemysłowy i rolniczy. — Wiele tam znaleść można rozmaitych rozpraw, recenzij — marzeń — i gorszych od marzeń uwag; ale bardzo małą liczbę takich, które-by na taki ważny przedmiot, jakim jest oczynszowanie, wpływać mogły. Zdawało by się, że niektórym z Autorów nie na tém zależało, aby myśl oczynszowania zgłębić, pojąć, i z dzisiejszego stanowiska sądzić, ale raczéj, aby się popisać, że są dowcipnymi właścicielami dóbr ziemskich. — Tę myśl podał mi artykuł dziedzica z Harlewa w Nr. 59 wspomnionego pisma umieszczony. — Artykuł ten z dwóch części złożony, zaczyna Autor od oświadczenia, iż pisze jako praktyczny gospodarz, to jest: że mając ziemię, może przez to odpowiedzieć wszystkim warunkom do pisania artykułów potrzebnym.

Piérwsza część zawiera rozbiór tego, co w Nr. 6 i 14 Przeglądu Naukowego z roku zeszłego umieściłem. — W drugiéj podaje Autor swoje środki oczynszowania.

(*) Zobacz recenziją Pana H. B. z Harlewa w Nr. 59 Korrespondenta handlowego, przemysłowego i rolniczego zamieszczoną, oraz *Przeglądu Naukowego z roku zeszłego*, Numera: 6 i 14.

Gdyby dziedzic Harlewa pisał z godnością, jakiéj przedmiot wymaga; gdyby, krytykując myśli z jego przekonaniem niezgodne, nie starał się dotykać osobistości, ograniczyłbym się na samém odpowiedzeniu na czynione zarzuty, li-tylko przedmiotu oczynszowania dotyczące, i to byłoby najwłaściwiéj. — Nacóż przez wyjście z granic przyzwoitości wywoływać osobistą obronę? — Dlaczegóż dziedzic Harlewa, nie znając mnie wcale, raczył mnie umieścić w kategorii człekolubów bez ziemi, teoretyków, znających gospodarstwo rolne z opowiadania, wreście w liczbie tych pisarzy, co to po zatradowaniu wioski, uczą innych, jak mają gospodarować.— Na to koniecznie wypada odpowiedzieć, bo inaczej, jakążby ważność mógł ktokolwiek przywiązywać do tego, co pisać zamierzam, lub pisałem, gdybym się wpiérw nie oczyścił z zarzutów przez dziedzica Harlewa mi zrobionych. —

Miałbym sobie za zaszczyt zasłużyć na imie człekoluba, bo bez człekolubstwa nic szlachetnego ani myśleć ani działać nie można. Człekolubami byli mężowie, którzy w wielkiéj epoce pomyśleli, że włościanie są ludźmi, że im się należą jakieś prawa, że ich potrzeba uwolnić z poddaństwa. Samolub jest tylko nieprzyjacielem postępu, bo się lęka, aby jego dobro osobiste, chociażby najniewłaściwiéj posiadane, nie było w czemkolwiek uszkodzone. „Człekoluby bez ziemi„ — wyrażenie Pana S. z upodobaniem przez P.H.B. powtarzane, do mnie zastosowaném być nie może, gdyż od kilkunastu lat we własnéj gospodaruję wiosce (którą, mam w Bogu nadzieję, zostawię dzieciom) a zatém nie piszę jako teoretyk, i po stracie własnego gospodarstwa, nie uczę innych gospodarowania. —

Te kilka słów w osobistéj obronie wyrażonych, będą dostateczne zapewne, aby na przyszłość *Pana* z Harlewa uczynić ostrożniéjszym, gdy mówić będzie o nieznanych mu osobach. Teraz co do recenzii artykułu:

Starać się będę na każdy ustęp Recenzenta odpowie-

dzieć. — Rozwinie się przez to myśl oczynszowania, co może nie będzie bez korzyści. Gdyby Recenzent uważniéj czytał mój artykuł, nie mógłby powiedzieć, jak to zrobił na początku, że jako człekolub bez ziemi, doradzam: „aby ktoś część majątku zarobionego pracą, lub odziedziczonego po przodkach, oddał trzeciemu. Niech raczy wskazać gdzie to wyczytał. — Jakież jest podobieństwo między darowizną bezwarunkową, a zamienieniem na czynsz tego, co włościanin dziś posiada, odrabiając pańszczyznę! Można-ż nazwać darowizną oddanie gruntu na pewny procent, czynszem opłacany? — Gdzież w całym moim artykule wynaleść można„ Chęć ukrzywdzenia właścicieli gruntowych„ Kiedy wyraźnie powiedziałem, że najważniéjszym zadaniem jest: oczynszowanie w taki sposób urządzić, ażeby to było z korzyścią włościan, bez szkody dziedziców. Pisze Pan H.B. że w Poznańskiem obawa utraty posiadanego gruntu, zachęcała czynszowników polskich do pracy— Dlaczegoż-by ta sama obawa nie miała być bodźcem i u nas, jeżeli z czasem wszędzie zaprowadzoném będzie oczynszowanie? jeżeli włościanin widzieć będzie przykłady pracowitości nie w Niemcach, ale we własnych rodakach, jeżeli pozna, że bez pracy nic nie żyszcze,— dla czegoż nie miał-by się stać pracowitszym? Równie krzywdzącą jak bezzasadną jest ta opinija.

Trudno mi jest wytłumaczyć sobie zdanie autora, dla czego korzystniéj jest zapomódz włościanina podupadłego, gdy ten odrabia pańszczyznę, niżeli czynsz opłacającego? — Powiada Pan H.B., że wtenczas przynajmniéj pańszczyznę odrobi.— Może to jest jasno,ale w pokorze wyznaję, że nie dla mnie. — Ponieważ nie rozumiem sprzeczności, jaka się okazuje w téj myśli, że włościanin, mając oddany grunt na własność z obowiązkiem płacenia czynszu, dla tego że czynsz płaci, nie będzie mógł się uważać za właściciela, — Wszakże w naszym kraju są koloniści, którzy czynsz płacą — a swoich placach stawiają budynki własnym kosztem,

a potém to sprzedają, opłaciwszy głównemu dziedzicowi Laudemium. — Dziedzic Harlewa, jako praktyczny gospodarz, nie może tego niewiedzieć. — Takiegoż prawa nabywszy dzisiejszy pańszczyzniany włościanin, pojmie swoim chłopskim rozumem, że własność jest własnością. Wszakże i dziedzice dóbr przestają być onych właścicielami, jeżeli nie zapłacą rat Towarzystwu Kredytowemu, a przecież każdy dziedzic czuje, że jest dziedzicem, chociaż na jego dobrach ciąży dług Towarzystwa, od którego procent opłacać potrzeba.

Nie powiedziałem, że w Poznańskiém wartość gruntu podwoiła się w skutek, ale pomimo oczynszowania, chociaż może i tak powiedzieć-by należało. — Uczyniłem to dla tego, żeby dzisiejszych właścicieli zaspokoić, że oczynszowanie wartości dóbr nie zmniejszy.

Nie spostrzegł się Pan HB., że chcąc zbić, poparł moje twierdzenie oświadczeniem, że korzystniéj u nas, niż gdzieindziéj, nabywać dobra, bo w Poznańskiem zaledwo 4% przynoszą. — Tam dochód z ziemi znacznie się powiększył przez ulepszenie gospodarstwa, lecz dla tego dobra nowonabywcom mniejszy przynoszą procent, że się wartość onych, w skutek konkurencii, w większym aniżeli dochody powiększyła stosunku. Jest to prawda niedogodnie dla tych, co mają dopiero dobra nabywać, lecz dla dawniejszych posiadaczy bardzo korzystnie. Jeżeli ktoś wieś, przynoszącą 8 tysięcy dochodu, która podług teraźniejszéj stopy warta 160 tysięcy, będzie mógł sprzedać za dwakroć, chociaż dochodu wsi nie powiększy, nie będzie to klęską, któréjby się należało obawiać.

Żąda Pan HB. wyjaśnienia, dla czego dzieci mieszczan lub drobnéj szlachty, zamiast chodzić do szkoły, tak samo pasą bydło i łotrują się po ulicach, jak dzieci włościan pańszczyznianych?

Nie sądziłem, żeby człowiek oświecony potrzebował od kogo innego odpowiedzi, żeby sam sobie nie zechciał z tego zdać sprawy. — Wychowanie dzieci zależy od rodziców, je-

żeli ci są na takowe niedbałymi, żadne skutki nie pomogą. — Zanim włościanie w ogóle zachęcą się do uczenia swych dzieci, dziedzic powinien się starać przez rozciągnioną opiekę, aby dzieci wiejskie odbierały wychowanie.

Gdyby żył ś. p. Staszyc, pewnie obdarzeni przez niego włościanie, inny daliby z siebie przykład,—pozbawieni nadzoru, pozostawieni samym sobie, może, że są w takim stanie, jak ich Pan HB. wystawia. — Ważna kwestija wychowania najniższéj klassy społeczeństwa, nie może tu być rozbieraną — Potrzebuje ona oddzielnej rozprawy.

Proponowane przezemnie zasiłki włościańskie nazwał Pan HB. „mamidłem na szkodę dziedziców rzuconém„, bo podług jego zdania 3% papiery będą stały 30 za sto. Można się mylić w rozumowaniu, ale nigdy w rachunku. — Kiedy papiéry 4% stoją alpari, papiéry 3% w tym stosunku stać będą 75 a nie 30 za sto. Prawda, że w takim razie traciłoby się 25%.— byłaby to ofiara, do któréj wielu znalazłoby się skłonnych, pomnąc, że bez ofiary nié ma zasługi. Mamidłem jest tylko fałszywe wystawienie przedmiotu — gdzie jest rachunek, tam manidła nié ma — Zresztą, słówkami mamić można ludzi nierozsądnych, dla których nie miałem pretensii pisać. Że zasada oczynszowania stale wziętą być nie może, nawet względnie do gruntu, o téj prawdzie, wpiérw niż Recenzent, powiedziałem w tych słowach: „Włościanie powinni opłacać czynsz z morgi. Zasada ta byłaby najwłaściwszą, i do każdéj miejscowości z najwyższą słusznością dająca się zastosować — *Wartość gruntu bowiem w różnych stronach, przy jednakowéj nawet dobroci, jest różna, różny też czynsz być musi* i t. d.

I to również jest prawdą, że właściciele po utracie pańszczyzny, muszą się zaopatrzyć w inwentarz roboczy. — Gdyby kto przypuszczał, że oczyszowanie od razu ma nastąpić, zapewne niepodobném byłoby dla wlścicieli, na raz zaprowadzić sprzężaj i narzędzia rolnicze—ale też na to mamy lata przed sobą,— Każdy ma to przekonanie, że oczynszowanie, nie tylko w całym

kraju, ale w powiecie, nawet w jednych dobrach, nie dało-by się korzystnie od razu zaprowadzić, że przeciąg dwudziesto-letni nie jest za długi, dla tego powiedziałem, że w dziesięć lat (nie od dzisiaj lecz od zaprowadzenia téj reformy) stan włościan się odmieni.

Dziedzice przejęci myślą oczynszowania, przewidując potrzebę inwentarza roboczego, przestaną tak skwapliwie sprzedawać cielęta — a nié ma folwarku, któryby nie był w stanie rokrocznie przynajmniéj kilka ich przychować. Włościanie podobnież zachęceni przyszłością, starali-by się o przychówek. — W wielu miejscach dziedzice mieli sobie zwrócone załogi przez włościan, skoro im zmniejszyli dni pańszczyzny. — Nie spodziewam się, żeby ktorenkolwiek z praktycznych gospodarzy, nie widział takiego przykładu. Oczynszowanie przymusiłoby do staranniejszego chowu bydła. — Następnie pisze pan HB. „Spotykamy daléj dowodzenia, iż Towarzystwo kredytowe nie może być przeszkodą do oczynszowania, gdyż to na dobra, nie na pańszczyznę pożyczki czyniło„ — Po tak fałszywie przytoczonych i zmienionych moich wyrazach, daléj autor udziela moralną, dawno znaną naukę, że, nim co za pewnik ogłosimy, należy zbadać gruntownie. Dla przekonania, jak nierzetelnie Pan HB. przytacza moje myśli, znów muszę powtórzyć to, co w mojéj rozprawie na stronnicy 202 powiedziałem.

„Nie zdaje się być korzystną, dla ogółu, myśl o zakupieniu gruntów dla włościan na wyłączną ich własność, bo to prócz innych ważnych niedogodności, mogłoby zachwiać bezpieczeństwo Towarzystwa Kredytowego, *które pożyczki swoje stosowało do wartości dóbr, wyrachowanéj z przychodów. Że pańszczyzna ważny dochód stanowi, każdemu wiadomo* i t. d. Dalej mówię: Nadto otrzymane przez właścicieli kapitały za sprzedaż gruntów, nie wszędzie obrócone-by zostały na melioracyą dóbr, wiele takowych rozeszło-by się za ich obręb, i do pomnożenia dochodów folwarczaych w niczem-by się nie

przyłożyły. Przeciwnie, czynsz stały wartość dóbr powiększy. Towarzystwo Kredytowe nie tylko nic-by nie straciło na wewnętrznéj organizacii majątków, ale owszem, przez nastąpiony wzrost gospodarstwa krajowego, za pośrednictwem oczynszowania, wiele-by jeszcze na bezpieczeństwie zyskało.„

Gdzież w przytoczonym wyciągu jest absurdum, o jakie mnie posądza Pan HB., cytując niby myśl moję? — Godziż się recenzentowi być nierzetelnym w przytaczaniu cudzych wyrazów?

Nie każdy piszący może mieć nadzieję, że wszyscy jego zdanie podzielą, i ja daleki byłem od téj zarozumiałości, lecz każdy ma prawo spodziewać się bezstronnej krytyki, a krytyka taka nie może się zwać bezstronną, któréj autor umyślnie przekręca myśli cudze, i stara się całą rzecz w fałszywym wystawić świetle.

Dla czegoż przedmiot tak ważny wyprowadzać na pole dowcipkowań? Dla czegoż prześladować za zdania, chociażby mylne, kiedy je raczéj prostować należy, aby z tego gruntowną utworzyć zasądę, posłużyć mającą do uskutecznienia dzieła. Zamiast się prześladować, powinni wszyscy wspierać się wzajemnie, wziąwszy za godło te słowa poety:

Służmy poczciwéj sławie! a jako kto może,
Do powszechnego dobra niechaj dopomoże.

O drugiej połowie artykułu Pana HB. przemilczę, bo nie było moim zamiarem pisać recenzije — pragnąłem się tylko usprawiedliwić z czynionych mi zarzutów. Mam nadzieję, że bezstronni czytelnicy sprawiedliwie osądzą krytyka i krytykowanego. —

J. K.

MONOGRAFIJE MIAST.

KOZIENICE.

Umieściwszy w piśmie naszém *) *ogólny* rzut oka na miasta Polskie, skréślony przez Jędrzeja Moraczewskiego, (który czytał w Poznaniu publicznie swój kurs dziejów krajowych), — przystepujemy teraz do *szczegółowego* opisu tych przynajmniéj grodów i grodków, do jakich mamy w ręku swych zasoby. Upraszamy przytém Miłośników starożytności krajowych o udzielanie Redakcyi podobnych monografij, aby kiedyś zupełna i porządna mogła powstać całość. Zaczynamy od Kozienic, sławnych niegdyś łowami w puszczach swoich. Nie możemy tu opuścić podania poczciwego ludu naszego, który tak w pogadankach wywodzi nazwę *Kozie-nic:* Gdy król (nie wiadomo jaki, bo w uściech ludu i w bajkach, zawsze grają rolę króle, bez oznaczenia nazwy) był na łowach w puszczy, w tém właśnie miejscu, gdzie teraz jest miasto, strzelił do przemykającéj się sarny. Ta śród najrączszego biegu, wstrzymała się na miejscu jak wryta. Dworzanin jednak poufały, czy ktoś z bliższych boku królewskiego, miał wyrzec: „E! *kozie* *) *nic* nie jest!" Król zbliżył się do sarny, a uradowany,

---

*) Patrz Nmer 19 Tomu III r. .z od str. 1 do str. 11,

**) Wiadomo, że w języku myśliwych, *Sarna* zowie się *Kozą.*

że ta z nóg się zwaliła u stóp jego królewskich, założył miasto tam, gdzie dopełnił zwycięztwa, a na pamiątkę swéj radości i tryumfu, nazwę dał miastu *Kozie-nic.* Wprawdzie, rozbierając krytycznie, znajdziemy w téj przypowiastce zarody *szlacheckiéj gawędy,* lecz gdy ta przeszła już w usta naszego Ludu, przeto, choć *wpół-szlachecka,* musimy o niéj wspomniéć. Niemasz zaś wcale śladów dziejowych co do powstania nazwy, przeto podania przynajmniéj pominąć nie wypada. Przytaczamy tu *Synonimy,* czyli podobne nazwy kilku miejsc, dla odcharakteryzowania miasteczka (zwanego po łacinie *Caprinia),* o którém mówić mamy obszérniéj.

Kozienice w Sandomiérskiém, w obwodzie (powiecie) dawniéj Kozienickim, dziś Radomskim, powiecie (okręgu) Kozienickim parafii, Kozienickiéj.

Kozienice wieś prywatna G. S. ob. R. p. R. parafija Potworów, 11 d. Lnd 95; odległe od m. ob. 4.

Kozienice w Lubelskiém, ob. Krasnystawski, powiat Krasnystawski, Paraf. Siennica; pryw. odległość od obw. Krasnystawa półtoréj mili.

Miasto Kozienice leżące o pięć mil od Radomia, dwanaście od Warszawy, tyleż od Lublina, trzy mile od Gniewoszowa, a ćwierć mili od Wisły, nazwisko swoje wzięło odprzyległéj wsi zwanéj *Starawieś;* jak-kolwiek o początku imienia żadnych śladów znaleść, oprócz przytoczonego podania, nie można — to jednak pewna, iż przed rokiem 1550 tęż samą nazwę miała przyległa dziś Starawieś; dziś miano Kozienic nosi także i część puszczy w któréj lubiła polować Bona Sforzia królowa; tu téż urodził się Zygmunt August piérwszego sierpnia 1520 roku; pamiątkę tego zachował kolos murowany z napisem na kamieniu; stoi on przed kościołem; nadto dzieje wspominają o zaszłych w téj okolicy porażkach Tatarów, Szwedów, i t. d., szczególniéj zaś o wygranéj potyczce przez Stefana Czarneckiego Hetmana Wielkiego 1656

roku; królowie Polscy uczęszczali tu na łowy, a przejeżdżając z Krakowa do Litwy pospolicie się tu zatrzymywali. Przytaczamy słowa z przywileju wzniesienia (erekcyi) miasta przez Zygmunta Augusta.

„Ut autem major Populi frequentia ad dictum oppidum Kozienice, et citius confluere, ibidemque Sedes suas et domi-nalia locare possint, damus, donamus libertatem hinc ad 15 Annos ab omnibus exactionibus quibusvis Civilibus, et contributionibus pro Nostra et Reipublicae necessitate laudatis et institutis. Nec non ab omnibus theloneis, pontalibus et foralibus Civitatum etc. Quibus quidem in annis expiratis praefati Oppidani ejusdem Oppidi Nostri Kozienice, thelonea, pontalia, foralia tali modo solvent, quemadmodum aliae Civitates solvere consueverunt. Insuper dicti Oppidani a Singulis Laneis agri, illis emensurati fuerint, pro festo Ś. Martini per 15 gr. et a Singulis Domibus gr. 2, a pratis vero per 20 gr. perpetuis temporibus, et inaevum, solvere tenebuntur.„ Komissya Lustracyjna r. 1557 przydała po gr. 2 z ogrodu. Miasto to dnia 7 Września r. 1550 założone zostało na łanach 55. Poznicy powiększone zostało w gruntach przez nabyte od mieszkańców pola, *Nowiny* zwane.

d. c. n.

WERNER
czyli Dziedzictwo;
TRAJEDIJA LORDA BAJRONA.

AKT I.
SCENA I.

Sala w starym, walącym się pałacu, w bliskości małego miasteczka na granicy północnej Szląska—Noc burzliwa.

WERNER i JÓZEFINA *żona.*

JÓZEFINA.

Uspokój się, mój drogi!

WERNER.

Jam spokojny.

JÓZEFINA.

Ze mną —
Tak, lecz nie z sobą: krok twój spieszny i szeroki,
W takiéj sali nie stąpa nikt takiemi kroki
W kim serce się nie dręczy obawą tajemną!
Gdyby w sadzie, wniosłabym, że jesteś szczęśliwy,
Latasz z kwiatka na kwiatek, jako pszczółka mała;
Lecz *tutaj!*

WERNER.

Zimno, wiatr wieje dotkliwy,
Chwiejąc ściennėm obiciem: we mnie krew ziębniała.

JÓZEFINA.

Ach, nie!

WERNER *(uśmiechając się).*

Cóż! czy chcesz tego?

JOZEFINA.

Ja pragnę jedynie,
By biegła jak zdrój żywy,

WERNER.

Niech sobie płynie,
Aż się wstrzyma — jak prędko, nic mnie nie obchodzi.

JÓZEFINA.

Więc ja niczem w twém sercu?

WERNER.

Wszystkiém — skarby! złoto.

JÓZEFINA.

I możesz pragnąć tego, co w niém rozpacz rodzi?

WERNER *(zbliżając się do niéj pomału)*

Lecz dla *ciebie* ja byłem — czém-że? mniejsza o to,
Złém i dobrém nie mało; czém jestem w téj porze,
Wiész o tém; czém być mogłem, lub być wypadało,
Nie wiész: jednak cię kocham, nic w świecie nie może
Rozłączyć nas.

WERNER *idzie dalej z pośpiechem, potém zbliża się do* JÓZEFINY.

Ta burza, co się w nocy zrywa,
Przeraża mnie zapewne: jam czuły niezmiernie,
Chorowałem, o luba! a twa dusza tkliwa
Więcéj jeszcze cierpiała, — wiész o tém, bo wreszcie
Strzegłaś mnie.

JÓZEFINA.

Widzieć ciebie zdrowym, wiele znaczy —
Widziéć ciebie szczęśliwym!... — —

WERNER.

Gdzieżeś to widziała?
Niech ja cierpię z drugiémi!

JÓZEFINA.

Ale pomyśl raczéj,
Jak wielu w téj godzinie, gdy burza nastała,
Drży od wiatru i zimna i téj nawałności;
Jak każda kropla dészczu coraz więcéj gniecie
Ich do ziemi, co domu im nie da, nie skryje,
Chyba w swém łonie.

WERNER.

Nie jest to najgorszém przecie:
Któżby myślał o domie? spokój wszystkiem. Owi
Biedni, o których mówisz — tak, wicher im wyje,
I silny deszcz kroplisty przejmuje ich kości
I szpik niszczy. Jam służył na wojnie Krajowi,
Byłem łowcem, podróżnym, a teraz żebrakiem.
Więc to, o czém wspominam, znałbym z doświadczenia.

JÓZEFINA.

Nie wolny-żeś od sloty, tu, w zaciszu takiém?

WÉRNER.

Tak jest, Od tego tylko.

JÓZEFINA.

Nié ma-ż to znaczenia?

WERNER.

Zapewne — dla wieśniaka.

JÓZEFINA.

Mają-ż niewdzięcznymi
Być ludzie z cnego rodu (?!) za ucieczkę taką,
Przez nałóg, dawną miękkość, więcéj, niż wieśniakom
Potrzebną im, gdy szczęście z skarbami wszystkiemi
Odpłynie, i na życia mieliznie zostawi?

WERNER.

Nie o tém rzecz: znieśliśmy tę niedolę całą,
Nie powiém że cierpliwie, bo to ciebie sławi
Nie mnie — ale się zniosło.

JÓZEFINA.

Dzielnie się udało!

WERNER.

Oprócz zewnętrznych cierpień (a tych było tyle,
Że wgryzły się w duszę) tak mnie coś trapiło
Często, a *teraz* bardziéj niżli w dawne chwile.
Gdyby nie ciężka słabość moja, z całą siłą
Wstrzymała na téj pustéj granicy nas dwoje,
Nie tylko mnie, lecz zasoby zniszczyła,
I zostawia nam, — nie! to nad możność moję!
Gdyby nie to, *ty* ze mną szczęśliwą-byś była —

Poparłbym moje imię — ród z świetności znany — (!)
Mojego ojca imię; a co więcéj jeszcze
Znaczy — —

JÓZEFINA *(nagle przerywając).*

Syn mój — syn luby — nasz Ulrych kochany,
Byłby w mych ręku, gdzie go od-dawna nie pieszczę,
Spełniły-by się chęci i żądza matczyna.
Lat dwanaście! był wtedy w ósméj życia wiośnie:
Musi być pięknym. — ładną była ta dziecina,
Nasz Ulrych drogi!

WERNER.

Dawno już, długo nieznośnie,
Pędził za mną, i teraz dognał mnie los srogi,
I tu ducha wyzionę przy ostatniéj mecie, —
Słaby, biedny, samotny.

JÓZEFINA.

Samotny, mój drogi?

WERNER.

Gorzéj — bom wciągnął wszystko, co kocham na świecie,
Gorzéj niż na pustynię. *Sam* umarłbym przecie.
I byłby kres wszystkiemu w nieznanéj mogile.

JÓZEFINA.

Ja-bym cię nie przeżyła; lecz ukój cierpienia!
Dawno wiedziem bój z losem, a kto walczy tyle,
Pokona go i strudzi, lub sam ze znużenia
Upadnie, czuć przestanie, co mu dolegało. —
Uspokój się, — znajdziemy dziécię ukochane.

WERNER.

Już byliśmy tak blisko, już wszystko się zdało
Nagradzać nas za smutki w przeszłości doznane —
I zawieść się!

JÓZEFINA.

Nadzieja może nas nie mami.

WERNER.

Mamyż pieniądze?

JÓZEFINA.

Nigdy ich u nas nie było.

WERNER.

Lecz jam zrodzon do bogactw, z tylu godnościami
Użyłem ich, kochałem, — źle się ich użyło!
Wszystkom utracił, gdy ojca zagniéwałem srodze
W chwilach wrzącéj młodości; za to nadużycie
Długom cierpiał. Zmarł ojciec: na otwartéj drodze
Wiele sideł spotkałem nastawionych skrycie,
Krewny mój zimny, podły, co dawno swe oczy
Wlepia we mnie, jako wąż, kiedy ptaka zoczy
Krążącego w powietrzu, — ten w przyjaznéj porze
Uprzedził mnie, i sobie przywłaszczył me prawa,
Został panem mych dziedzin, przez co w równi stawa
Z książęty udzielnemi.

JÓZEFINA.

Kto wié? syn nasz może
Wrócił do swego dziadka, i praw twych ochrania
Teraz, w téj chwili właśnie!

WERNER.

Próżne to nadzieje!!
Odkąd tak dziwnie zniknął z miejsca zamieszkania
Mego ojca, jakby wziął na siebie me winy,
Nie słychać gdzie przebywa i co się z nim dzieje.
Oddałem go dziadkowi, a to z téj przyczyny,
Żem wierzył słowom, jako gniew ojca nie spada
Na trzecie pokolenie; lecz niebo zaczyna
Dochodzić praw swych srogich, i teraz już wkłada
Za moje błędy, winę i karę na syna.

JÓZEFINA.

Większą mam ufność, — dotąd w naszéj było sile
Ujść ścigań Sztralenhejma, tak długich i dzielnych.

WERNER.

Skończyłoby się; lecz słabość zgubna tyle,
Gorsza od wszelkich cierpień i chorób śmiertelnych,
Nie życie, lecz jedyną ulgę tego życia
Wzięła: w téj chwili, czuję, że mię swemi sidły
Otoczył ten bies podły, chciwy i obrzydły; —
Skądże wiém, że nie zwietrzy naszego ukrycia?

JÓZEFINA.

Nie zna cię osobiście a szpiegi płacone,
Co cię strzegli tak długo, w Hamburgu zostali.
Nasz odjazd niespodziany, twe imię zmienione,
Sprawiły, że nas odkryć nie zdołają daléj:
I kiedy w nas to widzi, czém się być zdajemy......

WERNER.

Zdajemy! czém *jesteśmy* — żebracy schorzali,
Którym znikła nadzieja. — — Ha! ha! ha!

JÓZEFINA.

Takiémi
Śmiéchy, gorycz mi wzbudzasz.

WERNER.

I *któż* z tego lica
Ród dawny, wzniosłą duszę, mą zacność wyczyta?
Z szaty, *któż* pozna dzielnic książęcych dziedzica?
W tém oku mdławém, z cierpień zapadłém, *któż* schwyta
Dumę z rodu i przodków? a w zoraném czole,
W twarzy głodem zmarszczonéj, władzę nad zamkami,
Co ma tysiąc wazalów codzień przy swym stole?

JÓZEFINA.

Wszakżeś się tak marnémi nie trapił rzeczami,
Wernerze! gdyś zaślubił, nie chcąc innéj żony,
Cudzoziemkę, wygnańca i tułacza dziecię,

WERNER.

Córkę wygnańca pojął syn wydziedziczony! —
Stosowna para; alem miał nadzieję przecie
Wznieść się do stanu, w którym zrodzeni oboje.
. . . . .

JÓZEFINA.

Czém-bądź byłbyś, tyś dla mnie wszystkiém, — nic nie może
Zastąpić cię, czy w świetnym, czy w poziomym bycie,
Jam się sercem piérwszego obrała, — w téj porze
Nie ród, nadzieję, dumę — znałam smutki twoje:
Póki trwają, wesprę cię, z tobą je podzielę;
Skończą się, skończym nasze cierpienia oboje.

WERNER.

Tyś zawsze dla mnie taką, mój stróżu-aniele!
Choć słabość, nierozwaga w duszy mojéj gości,
Myśli krzywdzące ciebie nigdy nie postały.
Nie zniszczyłaś mych skarbów: szały méj młodości
Całe nawet mocarstwo połknąć-by zdołały,
Gdybym je był posiadał; tak, gdym poznał siebie
Poprawił się, uniżył, — teraz to nieznośnie,
Tracić, nic nie zostawić dla syna, dla ciebie!
. . . *(Słychać stukanie).*

JÓZEFINA.

Słyszysz?

WERNER.

Któś za drzwiami!

JOZEFINA.

Któżby pukał w téj ciszy godzinie? wszak mało
Kto nas odwiedza.

WERNER.

Nikt do biednych nie przychodzi,
Chyba chcąc ich uczynić jeszcze biédniejszémi.
Dobrze, jam gotów.
(Sięga ręką w zanadrze, jakby szukając tam broni).

JÓZFFINA.

Nie patrz oczyma takiémi!
Pójdę do drzwi, nic przecież tu nam nie zaszkodzi
W tém głuchem miejscu, które zima wyludniła—
Sama pustynia, człeka przed ludźmi ukrywa.
(Idzie ku drzwiom).

(Wchodzi Idensztejn).

IDENSZTEJN.

O,dobry wieczór tobie, moja pani miła,
I godnemu — — jakże się przyjaciel nazywa?

WERNER.

I nie boisz się pytać?

IDENSZTEJN.

. . . . Czy ja się nie boję?
Zląkłem się. Patrzysz, jakbym przez to zapytanie
Chciał zbadać coś lepszego, niżli imię twoje,
Takąś przybrał postawę.

WERNER.

Cóż lepszego, panie?

IDENSZTEJN.

Lepsze lub gorsze, jako małżeństwo; prócz tego
Cóż mam powiedzieć? Gościem jesteś miesiąc cały
Tu w książęcym pałacu — . . . ;
Naszym jesteś mieszkańcem, a my dotąd przecie
Nie wiémy jak się zowiesz.

WERNER

Werner moje miąno.
. . . .

IDENSZTEJN.

Nie wiecie co zaszło?

JÓZEFINA.

Skądże wiedzieć mamy?

IDENSZTEJN.

Wezbrała rzeka.

JÓZEFINA.

Widzę niestety! i skrycie
Smutek nas dręczy, bo już od pięciu dni fale
Wstrzymują nas.

IDENSZTEJN.

Lecz tego wy jeszcze nie wiecie
Jakiś pan wielki, chcąc się przeprawić zuchwale,
Niebaczny na nurt rzeki, na ludzi życzenia,
Utonął niżéj brodu, pięć koni pocztowych,
Małpa, brytan i sługa.

JÓZEFINA.

O! biedne stworzenia!
Czy wiész z pewnością?

IDENSZTEJN.

Tak jest, co do zwierząt owych,
Co do małpy i sługi; ale do téj chwili,
Czy też *jaśnie pan* skonał, lub żyje, nie wiemy;
Nie słychać by panowie łatwo się topili,
Bo tak słusznie się dzieje z ludźmi dostojnymi;
Lecz to pewna, iż w Odrze tak się opił wodą,
Żeby dwóch silnych chłopów rozsadziło może;
Wędrowcy, Sas i Węgrzyn, co w stosownéj porze
Wyciągnęli go, pono z wielką swą przygodą,
Z wirowego odmętu, z prośbą tu przysłali

O pokój lub mogiłę, jak zwykłe koleje
Z ciałem żywém lub martwém każą zrobić daléj.

JÓZEFINA.

A gdzież go przyjmiesz? tutaj, mam taką nadzieję!—
Mów, czyliż się przydamy? jam pomódz gotowa.

IDENSZTEJN.

Nie tu, ale w książęcym pokoju umieszczę
Zacnego gościa: wilgoć tam jest, ani słowa,
Bo tam od lat dwunastu nikt nie mieszkał jeszcze;
Lecz gdy z daleko-większéj wilgoci przychodzi......
Tylko że się zaziębi, jeśli czułość jaką
Ma na zimno — a nié ma, cóż to mu zaszkodzi?
W gorszém jutro się znajdzie mieszkaniu. Wszelako
Wydałem rozkaz, aby ogień był gotowy,
I wszelka pomoc w razie najgorszym — to znaczy:
Kiedy żyć będzie.

JÓZEFINA.

Biedny! myślę że Bóg raczy
Zbawić go! z serca pragnę.

WERNER,

Mój panie zamkowy,
Czyś słyszał jak się zowie? Moja Józefino,
(Na stronie do swéj małżonki)
Odejdź, chcę głupca zbadać.

IDENSZTEJN.

Zowie się? mój Boże!
Któż wié czy ma nazwisko, lub nié ma w téj chwili?
Dość czasu pytać, gdy się na odpowiedź zmoże,

A nie, więc tych, co po nim skarb odziedziczyli,
Wyryć na jego grobie . . . .

(Wchodzi Gabor).

GABOR.

Jeślim natrętny, proszę — —

IDENSZTEJN.

Nie natrętny wcale!
Jest to zamek; tyś obcy, podobny do siebie,
Bądż tu, jakbyś we własnym domu pędził życie.
Gdzież pan jaśnie wielmożny, w jakim teraz stanie?

GABOR.

Mokry, znużony, lecz już nie chłoną go fale;
Zatrzymał się, i suknie przewdział w jednéj chacie,
(Gdziem zdjął moje i tutaj spieszę), jego siły
W nurtach rzeki stracone, prawie się wróciły.
Wnet tu przybędzie.
. . . . . .

IDENSZTEJN.

Słuchaj! turkot wozu i hałas na dworze,
I blask pochodni. Wszystko, jak przepowiedziano,
Staje się; jego świetność tu przybyć raczyła.
Muszę być na swém miejscu: stańże zemną społem,
Pomódz wysiąść z karety, oświadcz przede-drzwiami,
Żeś sługą uniżonym.

GABOR.

Już go wyciągnąłem
Z powodzi, kiedy byłby oddał z chęcią całą
Swe hrabstwo, czy barona tytuł, gdy falami

Otoczon, wodę chłonął i w gardle glektało.
Ma sług dosyć: a wtędy to daleko byli,
Stali trzęsąc uszyma mokrémi z powodzi,
Wrzeszcząc: „Ratujcie!„ ale nikt nie chciał; w téj chwili
Jam spełnił moję służbę (jak zowiesz). — Nadchodzi
Twoja koléj. Strój minki, wprowadź go z ukłonem.

IDENSZTEJN.

Ja stroić minki! — ależ stawię się nie w porze —
Do licha! on *tu* będzie, a ja *tam* nie stanę!
(Spiesznie odchodzi).

. . . .

IDENSZTEJN *(za sceną).*

Oto własnie droga —
Niech jaśnie pan uważa, bo w ustroni takiéj,
Trochę ciemne są wschody, i już zapadają,
Popsute; lecz gdyby gość taki, spodziewany
Był u nas...... niech pan ręki méj trzymać się raczy.

Wchodzi SZTRALENHEJM, IDENSZTEJN *i słudzy*

SZTRALENHEJM.

Odpocznę utaj chwilę.

IDENSZTEJN *(do sług).*

Oh! krzesła! hultaje!
Natychmiast.
(Sztralenhejm siada).

WERNER *(Na stronie).*

To on!

SZTRALENHEJM.

Teraz lepiéj mi się staje.
Kto są ci znajomi?

IDENSZTEJN.

Niech-no pan zobaczy,
Ktoś mówi, że on nie jest obcy.

WERNER *(głośno z pospiechem).*

Kto taki mówi?

(Patrząc na niego z zadziwieniem).

IDENSZTEJN.

Co? nie *o tobie* mowa, nie *do ciebie!* — ale
Jest tu jeden, jaśnie pan może się nie strudzi,
Przypomni sobie.

GABOR.

Nie chcę niepokoić wcale
Jego godnéj pamięci.

SZTRALENHEJM.

Wierząc domysłowi,
Sądzę, że ocalenie jednemu z tych ludzi,
Obcych mi, winien jestem. A czy nie ten drugi?

(Wskazując na Wernera)

Mój stan, w jakim was nieba na pomoc zesłały,
Wymawia mnie, że nie wiém, kto mi zdziałał tyle.

IDENSZTEJN.

O — nie, panie! on raczéj sam pomocy woła,
Nie mógłby jéj udzielić. Człek biédny, schorzały,

I podróżą strudzony, co w niedawne chwile
Wstał z łoża, choć już myślał że powstać nie zdoła.

SZTRALENHEJM.

Mniemam że ich dwóch było.

GABOR.

Tak; lecz do usługi,
Wyświadczonéj dla jegomości, jak przystało,
Powiem, że *jeden* tylko, a tutaj go nié ma.
On największą dał pomoc, jeśli się udało
Przynieść ją: los mu zdarzył przybiedz w saméj porze.
Chęć ma nie była gorszą; lecz młodszy odemnie
I silniejszy, prześcignął mię; zatém daremnie,
Nie dziękuj pan. On w dziale piérwsze miéjsce trzyma,
Jam tylko pomocnikiem.

. . . .

SZTRALENHEJM (*wpatrując się w Wernera: potém na stronie*)

Być nie może! a jednak strzedz mi go wypada.
Lat dwadzieścia już mija, jak go sam widziałem;
A choć moi sprawnicy, wzrok wlepiony w niego
Ciągle mieli, przezorność chciała, żeby w-dali
Było me oko, bo-bym obudził w nim trwogę
I odkryłbym swój zamiar. Dla czegoż kazałem
Zostać w Hamburgu ludziom, co-by przekonali,
Że to on, albo nie on? Sądziłem przed chwilą,
Że będę Zygendorfu panem, i w tę drogę
Puściłem się, choć nawet żywioły się siłą,
Walczą zemną, a nagle przepełniona rzeka
Wstrzyma mnie tu w niewoli, aż — —

Zastanawia się i patrzy na Wernera,

. . . . Na tego człeka

Uważać muszę. Jeśli to on — tak zmieniony,
Że ojciec wstawszy z grobu, minąłby go może,
I nie poznał. Ostrożnym być trzeba: błąd mały
Wszystko-by zepsuł.

IDENSZTEJN.

Jaśnie pan tak zamyślony
Zdaje się. Czy nie zechcesz pan udać się daléj?

SZTRALENHEJM.

Przeszły trud sprawia, że mój umysł ociężały
Na pozór w myślach brodzi, więc się spać położę,
. . . .

SZTRALENHEJM *z sługami*, IDENSZTEJN *i* GABOR *odchodzą*.

WERNER. *(sam)*.

To on! Już wpadłem w sieci, wprzód niż wyjechałem
Z Hamburga. Dżiulijo, dawny jego podstarości
Mówił, że Brandeburski elektor pomocy
Udzielił mu, i rozkaz dał by przytrzymano
Krujenera (tak się właśnie wtedy nazywałem),
Gdybym przybył na granicę; żem swojéj wolności
Nie stracił, wolne miasto tylko mnie chroniło —
Aż gród rzuciłem — głupi! siedziéć mi tam było!
Lecz mniemałem, że w podłéj szacie, i nieznaną
Jadąc drogą, psów gończych z ich tropu uwiodę,
. . . .
. . . Nic mi nie zostało!
Chory, biédny — wkoło mnie rozlane rzek fale,
Których przebyć nie mogą nawet i bogaci,
Co mają wszelkie środki, i płacąc skarbami,
Chcą pokonać przeszkody — życiem swych współbraci, —
Ja mogę-ż miéć nadzieję? Niedawno się zdało,

Żem wolny od rozpaczy; a teraz poznaję,
Że tak nie jest, ma przeszłość rajem się wydaje.
Jeszcze dzień, a odkryje mnie, — gdy jutro może
Mam wejść w praw, i zaszczytów, i dóbr posiadanie,
Gdyby kilka sztuk złota, w saméj właśnie porze
Ułatwiło ucieczkę.

Wchodzi IDENSZTEJN, *rozmawiając z* FRYCEM.

FRYC.

Niech zaraz tu stanie.

IDENSZTEJN.

Mówię, że niepodobna.

FRYC.

W każdym jednak względzie
Trzeba doświadczać; jeśliby jeden wysłany
Nie wrócił, drugich poszlij, aż może niedługo
Odpowiedź od dowódzcy z Frankfurtu przybędzie.

IDENSZTEJN.

. . . . . Czy się baron położył w téj chwili?

FRYC.

On na wygodne krzesło, blisko przy kominie,
Rzucił się, drzymie sobie, i rozkazał sługom,
By aż do jedenastéj mu nie przeszkadzali,
A wtedy sam spać pójdzie.

IDENSZTEJN.

Nim godzina minie,
By mu służyć, co zdołam jak najlepiéj zrobię.

FRYC

Pomnij!

Fryc odchodzi

IDENSZTEJN.

Bierz djable wielkich tych panów, co sobie
Myślą, że wszystko dla nich stworzone! Mnie każą
Zbudzić sześciu poddanych, na lichéj pościeli
Drzących od zimna, i choć swe życie narażą,
Trzeba, by do Frankfurtu rzekę przepłynęli.
Sądzę, że swém niedawném doświadczeniem właśnie,
Mógł-by też baron poznać litość ku bliźniemu:
Lecz nie, „tak mu być *musi*,“ i koniec. Czy przecie
Jesteś, panie Wernerze?

WERNER.

Gościowi zacnemu
Bardzo krótko służyłeś.

IDENSZTEJN.

Sen go lekki morzy —
Lecz zda się lubić, gdy nikt prócz niego nie zaśnie.
Oto jest do dowódzcy pismo w tym pakiecie,
Do Frankfurtu, choć tyle przeszkód, choć najdrożéj
Chciano-by; lecz ja nie mam czasu: dobréj nocy!

Idensztéjn odchodzi.

WERNER.

List do Frankfurtu! do rąk dowódzcy. Tak gruby!
Tak, tak, wszystko się zgadza z kroki dawniejszemi
Tego psa oziębłego, którego rachuby
Mnie i dom ojca mają za cel. Bezwątpienia,
Pisze on, by mu oddział przybył ku pomocy

I wiódł mnie w jaką skrytą warownię. — Lecz może
Piérwéj niż — —

WERNER *spoziera w około, i porywa nóż na stole w ustroniu leżący*

Teraz jestem już sam sobie panem!
Cyt! — stąpanie! A skąd wiém, że on czekać raczy,
Aż powagą na błahym opartą pozorze,
Zdoła zakryć niesłuszność swego przywłaszczenia?
Pewno że mnie posądza. On sługi licznémi
Otoczon — ja sam jeden. Jam słaby; on siły
Ma tyle; wyższy złotem, powagą i stanem.
Jam bez miana, lub zgubę imię moje znaczy,
W złe mię wpląta, aż stanę w majętności mojéj;
On dumny tytułami, co więcéj sprawiły
Wrażenia na tym gminie biédnym, prostym, ciemnym,
Niż na innych. Znów bliżéj! cyt! cicho być muszę.
Pójdę w miejsce, złączone przechodem tajemnym
Z owym — — Nie wszędzie cisza — w głowie mi się roi! —
Cicho, jak w przerwie między piorunem a błyskiem,
Kiedy się oddech wstrzyma: — ukoję mą duszę
Śród niebezpieczeństw dla niéj. Jednak się oddalę,
Zobaczę czyli przechód, znany mnie samemu,
Niedostrzeżony jeszcze: on skrytém leżyskiem
Będzie dla mnie w złym razie na niedługie chwile.

Werner otwiéra skryte drzwi i wychodzi, zamykając je za sobą.

. . . . . .

Wraca IDENSZTEJN, *prowadząc kilku wieśniaków,* JÓZEFINA *oddala się w głąb sali.*

WIEŚNIAK PIÉRWSZY.

Lecz jak utonę?

IDENSZTEJN.

Co tam! wszak ci płacą drogo,
A że prócz utonienia, będzie przygód wiele,
Nie wątpię o tém.

WIEŚNIAK DRUGI.

Ależ nasze dzieci, żony?

IDENSZTEJN.

W gorszym nie będą stanie jak teraz, a mogą
Być w lepszym.

WIEŚNIAK TRZECI.

Ja ich nié mam, a więc się ośmielę

IDENSZTEJN.

Dobrze. Łebski chłop z ciebie, zdatny jak przystało
Na żołniérza. Przezemnie będziesz umieszczony
W przybocznéj księcia straży — gdy sprawisz rzecz całą;
I dostaniesz prócz tego w błyszczącéj monecie
Dwa talary.

WIEŚNIAK TRZECI.

Nie więcéj?

IDENSZTEJN.

Precz z chciwością swoją!
Może-ż być razem podłość i cnéj sławy żądze?
Mówię ci, dwa talary, uważ sobie przecie,
Skarb ci dadzą, gdy zmienisz na drobne pieniądze. —
Masz pięć-kroć-sto-tysięcy wojaków, co stoją,
I za talara dziennie tracą duszę, życie! —
Kiedy-żeś miał połowę tego?

WIEŚNIAK TRZECI.

Nigdy! — ale
Trzy dostać muszę.

IDENSZTEJN.

Draby! czyli już nie wiécie,
Czyjemi poddanymi jesteście?

WIEŚNIAK TRZECI.

O — wcale
Nie obcego, lecz księcia.

IDENSZTEJN.

Hultaje! gdy w-dali
Jest książe, jam tu panem; baron, wy nie znacie,
Jest-to bliski mój krewny: — „Idensztejnie bracie!
(Rzekł) każ dwunastu łotrom, by w drogę ruszali.“
A więc spieszcie się lotry! natychmiast — w téj chwili—
A jeśli tego listu chociaż jedna karta
Zmaczałaby się w Odrze — niech każdy pamięta!
Za najmniejszy kawałek, wnet skóra z was zdarta
Będzie, i za pargamin na bębnie rozpięta,
Jak Żyżki skóra, (*) co swym gromem płoszyć miała,
Gdyby który buntowny dannik rzeszy jakiéj,
Choć niepodobnéj, nie mógł — — Precz ziemne robaki!

Wychodzi, pędząc ich przed sobą.

JÓZEFINA *(występując naprzód).*

Zbyt powtarzane sceny, a jabym nie chciała
Widzieć, jak tu udzielne tyraństwo się sili

(*) Jan Ziska (Żyżka)—ur. 1360 um r. 1424; okrutny wódz Hussytów. Istnieje o nim bajeczne podanie, jakoby był rozkazał, ażeby po śmierci skóra jego na bębnie rozpiętą została, w celu napełnienia przestrachem nieprzyjaciół. *(Przyp. Red.)*

Nad istoty nędznemi; gdy pomódz nie mogę,
Nie spojrzę.

. . . .

. . . . Cóż znaczy
Werner tutaj? Ty-żeś to! czyliż tak być może?

WERNER, *trzymając nóż w ręku, wchodzi spiesznie skrytemi drzwiami, które zaraz za sobą zamyka.*

WERNER *(nie postrzegając jéj naprzód).*

Odkryją mnie! więc sztylet — — *(postrzegłszy ją).*
Ach! to Józefina,
Dla czego nie śpisz jeszcze?

JÓZEFINA.

Jakże spać? mój Boże!
Cóż to znaczy?

WERNER *(pokazując pieniądze w papiér zawinięte).*

Mam *złoto!* — Józefino! *złoto*
Z ohydnego więzienia nas pewnie wybawi.

JÓZEFINA.

Jakżeś je dostał? — nóż ten!

WERNER.

Bez krwi *jeszcze!* — o to
Nie dbaj — chodźmy do izby.

JÓZEFINA.

Skąd idziesz w téj chwili?

WERNER.

Nie pytaj! myślmy raczej dokąd spieszyć mamy —
To nam drogę uprzątnie *(pokazując złoto).*
Teraz im się zdamy.

JOZEFINA.

Nie śmiem sądzić, byś spełnić mógł to, co niesławi.

WERNER.

Nie sławi!

JÓZEFINA.

Tak wyrzekłam.

WERNER.

Uchodźmy z téj strony.

Noc tu ostatnią, myślę, będziemy pędzili.

JÓZEFINA.

Ufam, że nie najgorszą.

WERNER.

Ufaj! ja to zrobię

Pewném. Chodźmy do izby.

JÓZEFINA.

Spytam cię jedynie,

Cóżeś *zdziałał?*

WERNER. *(zajadle).*

Czyn jeden został *niespełniony,*

Wszystkoby dobrze było: nie wspomnij mi więcéj

Wychodź.

JÓZEFINA.

Niestety, i ja mam wątpić o tobie!

Odchodzą.

KONIEC AKTU I.

KILKA WZIĄTKÓW ZE ZBIORU POD NAZWĄ:

MÓJ SPOSÓB WIDZENIA RZECZY,

MYŚLI I POMYSŁÓW i. t. d.

I.

Duma pochodząca z zarozumiałości, i szlachetna duma, albo uczucie własnéj godności. —

Duma i *uczucie własnéj godności* są dwiema własnościami charakteru ludzkiego, stykającemi się z sobą — jak skąpstwo z oszczędnością — upór ze słabością — rozrzutność z hojnością — słabość charakteru z dobrotliwością, i t. p. — Na pozór zdają się one z jednego punktu wychodzić — lecz przeciwny kierunek, robi piérwsze: wadą i występkiem — drugie: rękojmią prawdziwej wielkości — cnotą.

Zarozumiały mniema, że nikt tego, co on, tak, jak on, zrobić nie potrafi — *ufny we własne siły*, że co tylko inni zrobili lub zrobić są w stanie, i on temu podoła, albo podołaćby potrrafił tąż idąc drogą. —

Dumny siebie wyżéj nad wszystkich ceni — *czujący własną godność*, nikogo wyżéj nad siebie. Stąd chęć poniżenia

drugich, tak jest wrodzoną *dumnemu* — jak chęć zrównania drugim, prześcignienia ich, *czującemu własną godność*. —

Dumny w każdym ze współzawodników widzi wroga, posiągającego na jego własność wyłączną — gwiazdę uwłaczającą jasnością swych promieni, słońcu jego wielkości; — nienawidzi, lęka się współubiegających, a takich widzi w każdym człowieku wyższych zdolności, obszerniejszéj nauki. *Czujący własną godność* ufny w siły własne, każdemu chętnie sprawiedliwość odda, bo w zwiększonéj wartości drugich widzi stosunkowo wywyższenie własne — pewny swego, nie lęka się współzawodników, chciałby owszem liczbę ich powiększyć. Ośmiela, zachęca niepewnych siebie — błądzących prostuje — korzysta z ich błędów, by się ustrzedz podobnych, nie żeby w nich szukać środków do ich poniżenia. — Kocha swoich współzawodników, jak towarzyszy trudów, walk, dalekiéj i ciężkiéj wędrówki — Wspiera się na ich barkach z ufnością — z uprzejmoscią i współczuciem podaje rękę upadającemu — Jak kryształowa soczewka kupi, ześrodkowywa, wsysa promienie światła, żeby je stopiwszy w swém łonie, wysłać z niego snopem jaśniéjszych i bardziéj ogrzewnych promieni.

Wielkość, sława, jest zenitem obu — ale biegną ku nim po dwu przeciwnych nieba stronach — przeciwnemi drogi, pomocą przeciwnych środków doścignąć ich pragną: — Piérwszy depce wszystko, pod nogi spycha i strąca w szaloném zapamiętaniu — Chciałby jednym pędem stanąć na szczycie, świat przeważyć, nagiąć do siebie — pochwycić pełzającą w szczycie gwiazdę, i jak zorzą północy opasawszy nią skronie, zgasić wszystkie światła na niebie. — Drugi przodkując innym, stara się ukryć przed niemi swą wyższość — wspólnemi siłami w górę dąży — wolnym lecz pewnym krokiem — im bliżéj celu, tém jaśniéj oświecają go promienie blade i niepewne, zrazu mała gwiazdka wzrasta coraz naglé

i niebawem zmienia się w słońce, niewzruszone z swéj posady i wiekami niezgasłe. —

2.

Kobiéty.

Słusznie (?) ktoś powiedział, że kobiéta jest niebem dla oczu — rajem dla zmysłów — czyścem dla worka — piekłem dla serca — śmiercią dla rozumu. —

Patrz więc z upodobaniem na piękną. — Obcuj z utalentowanémi — bądź godnym raju, nie szukaj go w obietnicach Mahometa, ani za powinności granicą w wyobraźni obłędach — Worek będzie ci prawdziwym czyścem, bo rozsądny z niego szafunek, wynagradza ci sowicie kłopoty napełnienia go, da ci wstęp do nieba przyjemności i szczęścia, dostępnego na ziemi — zwłaszcza, gdy kochać będziesz dobrą, cnotliwą, a nadewszystko wzajemną, wtedy znajdziesz niebo tam, gdzie piekło dla drugich. — Rozum nawet zabłyśnie życiem — raj z niebem pogodzi, panowanie w nich twoje ustali. — (?)

3.

Żarty.

Żart powinien mieć choć cień *prawdy* w sobie, choć podobieństwo do niéj — ale takie tylko, żeby go nikt słusznie za *prawdę* wziąść nie mógł. —

Dla *prawdy* znowu, kiedy ją w bawełnę obwijać potrzeba, żeby naga, zbyt w oczy nie kłuła — wesołość zgodna z miejscem, czasem i osobami, najlepszą bawełną—niemasz lepszéj przyprawy do gorzkiéj prawdy jak nadanie jéj postaci żartu. — Najwybrydniejsze, nadjdrażliwsze podniebienie, przełknie, zniesie takie lekarstwo, byle przyrządzone było z doskonałą znajomością charakteru osoby, zastosowane do czasu i miejsca.

Złośliwość *żartu* bierze swój początek nie w nim samym, ale w uczuciu, które go natchnęło — nieraz zaś nieuwaga na stosunki, położenie osób przytomnych, daje *żartowi* pozór złośliwości, któréj ani w nim samym, ani w chęciach żartującego nie było.

Kto się za niewinny *żart* gniewa, albo go nie rozumie, albo sumienie mu szepcze, że w nim więcéj jest prawdy niżeli mówiący i przytomni podejrzywają, — albo nakoniec, nie będąc w stanie na *żart żartem* odstrzelić, czując swoję niższość w tym względzie — lęka się aby przytomni jéj nie spostrzegli ,i niepoczytali tego za tak wielkie upokorzenie, za jakie mu obrażona próżność i duma to brać każe. —

Komu znowu Bóg dał wesołość i dowcip ten nieraz w *żartach* za daleko sie posunie — dla niestracenia swawolnego pomysłu nie zdoła dać baczenia na czas, miejsce i osoby. — Żeby pierwsi nie brali niewinnych wyskoków wesołości, za posiąganie na ich godność i powagę, i zwracali baczność na cel *żartu*, nie na środki żartującego — lub nie pragnęli gwałtem uchodzić w oczach ludzi za cóś więcéj, niżeli są istotnie; — żeby znowu drudzy więcéj zważali na skutek *żartu*, niż na jego zgrabność: więcéj byłoby swobody w mowie, wesołości w towarzystwach, przyjaźni i zażyłości między sąsiadami i znajomymi. —

4.

Rady.

Prawdziwy przyjaciel, dobry ojciec, sumienny nauczyciel, prawy doradca — w dawaniu *rad* i przestróg, nie siebie, ale tego, komu je daje wyłącznie ma na celu.

Zrzec się on powinien na chwilę swego wieku, swego charakteru, swoich wyobrażeń i pojęć — wcielić się niejako w przedmiot swéj troskliwości — zostawując sobie tylko doświadczenie, wyższość rozumu i pochodnię rozsądku. — Bo choćby jego *radą* kierowała nawet szczera przychylność, chociażby ona płynęła z czystego mądrości źródła — cóż po niéj, jeżeli ten, kto jéj jest celem. będzie w moralnéj niemożności jéj przyjęcia?!

Kto *radząc*, nie siebie, ale tego, komu *radzi* ma na celu — smuci się, ale nie gniewa, jeśli rada jego, któréj zbawienność jawnie widzi, nieprzyjętą zostanie. Nie cieszy się on ze szkód i szwanków, jakie przewidziany przezeń bieg zdarzeń sprowadził — tém bardziéj nie pomaga okolicznościom do ukarania za pogardzenie jego przestrogami! Owszem, wchodząc w położenie, myśli i chęci przedmiotu swojéj troskliwości, niesie mu nowe *rady*, zastosowane już do zmienionych okoliczności — pociesza i wspiera na przykréj drodze, obranéj wbrew jego *radom* — I jeżeli wspomni przeszłość, to jedynie dla poparcia przykładem obecnych uwag — jako świadka, dla uzyskania łatwiéj wiary i dobrego dla nich przyjęcia. —

Nie masz trudniejszego i niewdzięczniejszego położenia, jak położenie *doradcy*, zwłaszcza w okolicznościach, ważne, stanowcze na przyszłość ciągnących za sobą następstwa. Jakiemi są: — rodzicom, jakim trybem mają wychowywać swe

dzieci; — wychodzącemu w świat młodzieńcowi, jaki stan, jaką drogę życia ma obrać — Nakoniec swatostwo lub odradzanie osobom, co zamyslają o wyborze dozgonnego przyszłych dni towarzysza — lub nie myśląc, pokochali, i popychani uczuciem, śmiało idą naprzód drogą przez serce wytkniętą.—

Jakiego potrzeba doświadczenia, znajomości świata, osób, którym się *radzi!* — Jakiego zgłębienia skłonności, pojęć i wyobraźni!Jakiéj przezorności na przyszłe zmiany, mogące zajść w położeniu, stosunkach, pojęciach i wyobrażeniach ogólnych, wzajemnéj zawisłości stanów! —

We względzie małżeństwa, trudności te rosną w dwójnasób — bo tak trudne do zadosyć-uczynienia, im wyżéj wyliczone warunki, podwójnemi się stają, ze względu na dwie w zakres działania wstępujące osoby.

A chociażby wreszcie, *radzący* czuł się, że mniéj-więcéj wszystkim tym warunkom należycie odpowiedzieć potrafi — niech pamięta, że w rzeczach ludzkich, bez ofiary z siebie, drugim zrobić dobrze niepodobna! — Że podejmując się *radzić*, bierze już tém samém na siebie domyślny obowiązek wspierania, na drodze, którą *doradza*; — służenia nadal, nie tylko *radą*, ale i *czynem* w potrzebie. — Inaczéj *rada* jego choćby najzbawienniejsza w obecnéj chwili, byłaby błędnym na bagnach ognikiem, spadającą gwiazdą na niebie — przyświecającą na chwilę tylko, żeby wprowadzić w manowce —

Niechaj nie myśli o zarobieniu na wdzięczność! nie żeby ona była rzeczą niebywałą na świecie (wszakże i na loteryi wygrać się zdarza), ale że przysłowie: „tam dobrze, gdzie nas nié ma“ matematyczną jest prawdą. — Jakże rzadki człowiek, coby nie myślał, że idąc inną drogą, więcej-by zyskał, dalej-by zaszedł?! — Jest to znowu właściwością natury ludzkiéj, że każde powodzenie na drodze, jaką idziemy, radziśmy przypisać własnym siłom, zdolnościom, zasługom — wszelkie zaś zawady i szwanki, źle obranéj drodze, ludziom i okolicznościom, co nas za nią popchnęły — co nas otaczają. — Poży-

tki na innych drogach życia, pozorna łatwość w ich zbieraniu, bije nas w oczy na piérwsze spojrzenie: — gdy tymczasem cała czereda powszednich trudów, ofiar, zmartwień i przeciwności, stanowiących treść życia ludzkiego; czekająca człowieka na każdéj drodze, jaką-by tylko obrał — tai się przed wzrokiem naszym pod tą złocisto-emaliowaną powłoką. —

5.

Towarzystwo Kobiét.

Kobiéty są ogniem dla młodego człowieka. — Stroniąc od ich *towarzystwa*, ostygnie i pomierzchnie; — nazbyt zbliżając się do nich, sparzy się — a nieraz na popiół się przepali. — Tylko rozsądne umiarkowanie w stosunkach z niemi, da przyzwoite ciepło uczuciom — sprężystość wyobraźni — giętkość ciału i myślom — powab ruchom i pomysłom, miły i świetny koloryt obejściu i wysłowieniu. —

Marcin Ossoryja.

Przypominamy czytelnikom pisma naszego,—zamiast przypisku do zdań o kobiétach, — stronicę 253 i 254 Przeglądu Naukowego w T. II. z r. zeszłego.

OD WYDAWCY.

Składając dzięki Szanownym korrespondentom z Moskwy, wspiérającym pismo nasze naukowemi artykułami, — winniśmy jednak sprostować kilka błędów, jakie się wśliznęły do zdania o *jedném ze spostrzeżeń Wojciecha Zborzewskiego* (str. 11 — 120. T. I. *Przeglądu Naukowego* z r. b.)

Bardzo jest stosownym i właściwym nadpis na czele artykułu, zaraz po tytule, iż to jest rzecz o *świattym pasie, widzianym nad poziomem Półtawy.* Zakończenie jednak tego ustępu słowami: „To długie pozostawanie pasa na jedném „miejscu, każe się domyślać, iż ten musi być ogonem komety, kryjącego się pod poziomem Półtawy“ — wymaga sprostowania. Była-to bowiem Z o r z a z o d i j a k a l n a, nie zaś co innego.

W ogólnym rzucie uwag o kometach (który Autor skréślił podług Herszla) powiedziano: „Zwyczajnie komety po przejściu *przez słońce,* mocniéj swiecą“ — zamiast wyrażenia się, że po przejściu *przez punkt przysłoneczny,* mocniéj komety świécą.

Wiadomo że Jowisz, nie *z jakiéjś niepojętéj przyczyny,* lecz dla swéj wielkiéj massy, bywa na przeszkodzie biegowi komet.

Kometa 1770 roku odkryty przez Lex'ela, zbliżył się do satellitów Jowisza, a nie *zszedł się* z niémi, jak napisał szanowny Autor artykułu.

Wyrachowanie powrotu Haleja (komety), było nie na 4 lub 7 listopada, lecz na 12 tegoż miesiąca. Powrót zaś nie nastąpił *kilką tygodniami* prędzéj, ale 16 listopada, a więc o cztéry dni tylko zaszła różnica.

Nareszcie, Szanowny nasz korrespondent twierdzi, że „komety są najogromniejszemi ciałami naszego systematu„ — a zgodzićby się raczéj wypadało na to, iż ogony tylko komet, nadzwyczaj są długie.

Mimo wszakże tych usterek, które niepostrzeżenie i z winy korrektora wytłoczonemi zostały, a przeto sprostowanie niniejsze spowodowały, — Redakcija uprasza szanownego Korrespondenta z Moskwy, równie jak i b. Prof. Zborzewskiego, o dalsze zasilanie *Przeglądu* swémi pracami, z wdzięcznością zawsze przyjmowanémi.

Sk.

KORRESPONDENCIJA (*).

W piérwszych dniach września już się wszystkie kursa zamknęły, i ja téż przedsięwziąłem zrobić sobie małą wycieczkę. — Plany były rozmaite; był tam na scenie i Londyn i Szwajcarija — ale obrachowawszy moje finanse, niepodobna było tak długą podróż przedsiębrać; a więc statkiem parowym Sekwaną puściłem się do Rouen. — Co też to za żyzny kraj ta Normandija! jest to kraina owoców, jak ją Francuzi nazywają — wszystkiego poddostatkiem, i zboża, i wina, i wybornych owoców. Lud czerstwy, zdrowy i bogaty; piękne kobiéty, piękne okolice, słowem, wszystko piękne tam znalazłem. — Wyprawa moja normandzka trwała 9 dni — w Rouen bawiłem się tylko jeden dzień, miasto piękne i ludne, z wspaniałym katedralnym kościołem. — Napowrót puściłem się piecho-

(*) Jeden z byłych uczniów b. Akademii Wileńskiéj, który po jéj ukończeniu chlubném, udał się za granicę do obcych Uniwersytetów, celem poznania nowych wynalazków i ukształcenia się na praktyka doskonałego, nadesłał w liście urywek z opisu swych wycieczek. Odpis téj podróży we Francyi umieszczamy w piśmie naszém.

tą. — O półtoréj mili od Rouen, przechodząc przez pola okryte winnicami, wzięła mnie ochota urwać kilka gron, ale zaledwie je urwałem, aliści, jakby z pod ziemi, wypada stróż pola i chce mnie prowadzić do Mera; po długich sprzeczkach, zaledwie się moim paszportem i nieznajomością zwyczajów francuskich uwolniłem, i ruszyłem daléj. —

Życie chłopa francuskiego jest bardzo skromne — zrana pije kawę, na śniadanie je karczocha z oliwą, i zapija to cydrem lub winem. Objad składa się z rosołu z bułką lub zupy z cebuli, mięso zaś kilka razy tylko na tydzień jadają. Jarzynę zazwyczaj stanowią karczochy lub białe ogórki, gotowane z sosem pietruszczanym (aux fines herbes). Wszyscy tutaj w domu wiejskim pracują, począwszy od gospodarza; — żona i córka w wielkich białych kołpakach normandzkich, podobnych prawie do szlafmycy, przewiązanéj wstążką, zasiadają i robią koronki; czasem starszy syn czyta im gazety, lub inną pożyteczną książkę. —

Postrzegłem także odmienny od naszego sposób odbywania żniwa—wszystko zboże koszą (a najwięcéj przenicy uprawiają), a ponieważ rzadko znają stodoły—kmiotek więc zaraz podłożywszy płachtę na zagonie, młóci zboże, pakuje w wory, i zawozi do siebie, albo téż zboże zwozi do domu, i w obszernych izbach, o beczki uderzając kłosami, tym sposobem wytrząsa ziarno. Zboże oczyszczone zawozi na zsyp do pobliskiego miasta, waży je, i zaraz pieniądze podług ustanowionéj taksy odbiera. —

O nawóz tutaj dosyć trudno, inwentarza bardzo mało trzymają dla tego, że pasza nadzwyczaj wiele kosztuje—cała pasza prawie z łąk sztucznych pochodzi. Dobra fura siana parokonna koło Paryża kosztuje do 200 franków! Ponieważ tak o nawóz trudno, a zatém we wsiach, przy publicznych drogach, stają gromadami małe dzieci, opatrzone koszykami i łopatami. — Niech tylko się pokaże gdzie kupka nawozu, oho! dzieci, które nań czatowały, wybiegają i z zadziwiającą zręcznością pakują do koszyczka. — Podobno to i w waszych

stronach się dzieje, panowie gospodarze — jeżli się nie mylę, to dziewczyny z Ustrzeszy za pańszczyznę w koszyku drogi z nieczystości uprzątają. — Tutaj ten nawóz służy pod winnice, tam pod kartofle — tu dla wina, tam dla wódki — Zawsze wielkie podobieństwo.— Nierogacizny nigdzie w tych stronach nie zdarzyło mi się napotykać, chyba koło większych miast ale to są trzody przez rzeźników tylko utrzymywane. —

W tym roku zanosiło się na wielki nieurodzaj, deszcze bowiem prawie ciągle lały, i zboże znacznie było poszło w górę; ale na kilka tygodni przed żniwami nastał piękny czas, i urodzaje, jak tutajsi gospodarze mówią, mają być piękne. — W północnym departamencie koło Lille i Dunkierki, grad znaczne szkody w zasiewach i winnicach porobił; lecz w Anglii urodzaje równie mają być dobre (jak mówią). Czy tylko nie w słomę zboże wybiegło? —

W okolicach Paryża krowy dojne znaczne korzyści przynoszą — ale bo téż zupełnie inaczéj jak u nas z niemi się obchodzą: krowy przeznaczone do mleka utrzymują ciągle w oborach (czyli krowiarniach, jak w Poznańskiém mówią), tam dają im strawę stosowną do pory roku, to jest siano w zimie, a zieloną paszę w lecie. — Krów nawet do wody nie wypuszczają, ale je w oborach poją. — Tym sposobem utrzymywana krowa wydaje bardzo wielo mléka, które dwa razy na dzień ma być dojone. — Szczególna rzecz, mleko takie nadzwyczaj jest bogate w części tłuste, bardzo wiele wydaje śmietanki, a zatém do fabrykacii masła bardzo przydatne. — Wszystkie krowy, które widziałem, tym sposobem były utrzymywane.—Nie szkodziło-by, gdyby i w naszych okolicach, tegoż samugo użyowano sposobu. — Krowa niepowinna nigdzie wychodzić — jest to główny warunek. —

Wróciwszy z Normandii,resztę wakacii przepędzam w Wersalu — nająłem stancję prawie za rogatkami, obok sąsiedniéj wioski. — Mieszkanie mam bardzo porządne, kilka pokojów których okna wychodzą na park królewski. — Wsta-

ję wcześnie, zamiast kawy zjadam ze dwa funty wino-gron i ruszam na przechadzkę — wszędzie gdzie stąpniesz, napotykasz prześliczne okolice i widoki. Zdaje się, że Wam wspominałem o wodociągu w Bue, o tym drugim Ojcowie — otóż, tam, z mego mieszkania bardzo blisko. Codzień z książką w ręku robię wycieczki w rozmaite strony. Zwiedziłem sławny wodociąg w *Marly le roi*, o którym mi pan Kępiński opowiadał — teraz przydano machinę parową o sile 150 koni, która wodę wysyła do Wersalu, a któréj za jego czasów nie było. —

Zwiedziłem *St. Germain en Laye*, widziałem pałac Józefiny w *Malmaison* i grób jéj w kościele w miasteczku *Ruelle*. Byłem w *Nanterre*, miejscu urodzenia Śtéj Genowefy patronki Paryża. —

Przypatrzyłem się też jarmarkom we Francii — te wszędzie bywają jednakowe. — Na szerokiéj naprzykład ulicy lub placu, stawiają mnóstwo bud i kramów z różnemi drobiazgami; ale to mniejsza, tych drobnych artykułów można w każdém miasteczku dostać każdego czasu. — Komedijanci tylko cechują jarmark francuski — a wszędzie ich tam pełno — tu skaczą na linie, tam jeżdzą na koniach, strzelają, podnoszą ciężary, kuglarzą etc. W menażerijach poczciwym wieśniakom smalone duby prawią o zwierzętach, które im przedstawiają. — W innéj znowu budzie pokazują ogromną babę, ważącą 196 kilogranów (392 funty), żeby zaś zapewnić publiczność, że nieużywają żadnego podstępu, każą się dotykać jéj łytek, gorsa etc. etc. — W St. Germain i na jarmarkach w okolicach Paryża, pokazują karła, niby króla Stanisława. — Przed tą budą jest wymalowany ogromny szyld, na którym znajduje się karzeł, otoczony rozmaitą ciekawą publicznością, między widzami na czele jest umieszczony książe Józef. — Właściciel karła takiemi słowy zachęca publiczność:

Voici le petit Bibé, nain du Roi de Cologne (zamiast *de Pologne*). *Ce petit nain, est le plus petit des Lapons de la Lapo-*

nie. Ne le confondez pas avec ce grand b r i g a n t *de 5 pieds et 6 pouces, qui s'est vanté de parler six langues differentes et qui parlait tout en français pour faciliter de tout un chacum* —

Przed innemi znowu budami zbiera się gromada gawronów bluzowych, i otacza strzelca, który za *sou* ma trzy wystrzały, jeżeli trafi to ma tę przyjemność, że mu się otworzy grób Napoleona. — Dalej znowu fortunka, wygnana z *Palais Royal*, obrała sobie na jarmarkach siedlisko, ale już tutaj nie wygrywa się ani złota, ani srebra, chyba tylko parę makaroników lub jaki bohomaz. — A wszyscy krzyczą i potrącają się — każdy do siebie ciągnie i zaprasza, niby żydzi z Kazimierza lub Franciszkańskiéj ulicy. Tutaj chustki i woreczki wyciągają, a to wszystko zgrabnie i z pewnym wdziękiem. — Daléj widać Panorama lub Diorama, a stojący maszynista spiewając zachęca do zwiedzenia, — Kilka wierszy oryginalnych spamiętałem:

Approchez tous ce magnifique,
Pour Vous placer sous le rideau,
Vous allez voir un coup magique,
En regardant chaque tableau.

Oui, celui qui payera, verra,
Que j'enfonce le diorama,
Vous allez voir, vous allez voir!
Ce que vous allez voir.

Le soleil et la lune,
L'obelisque de Luxor,
Deux Rois de Palestine,
Pollux et Castor.

Późniéj zaczyna krzyczéć temi słowy:

Entrez Messieurs et Dames! ceci vous represente le por-

trait en pied de hiénne barrée, ainsi appellée à cause des barres, qui parcourent son individu. —

Póżniéj o obrazie Napoleon tak się odzywa:

Remarquez bien sa mise,
Son glorieux drapeau,
Sa redingote grise
Et son pétit chapeau!

Vous le voyez à coté sur la colonne de Vendôme; il ne lui manquait qu'une seule gloire, c'etait l'abolition de la lotterie i t. d. i t. d.

Stołuję się tutaj zupełnie w prywatnym domu, gdzie kuzynka gospodyni (zapetryfikowana panna) chce się koniecznie uczyć odemnie po polsku. Jest-to sobie panna, która, gdyby była młodsza o 30 latek, to kto wié czy-bym się nie podjął być jéj nauczycielem. Przy objedzie nie daje mi pokoju, ale ciągle zarzuca pytaniami o zwyczajach naszych i uczy się polskich wyrazów. Raz mnie się dopytywała, czy żyraffy i małpy są w naszym kraju? Oczywiście że potwierdziłem takie zapytanie.—Nawiasem mówiąc, tutejsze panny są bardzo posażne, i tak córka piérwszego lepszego episiera ma 50, ba czasem 100-tysięcy franków posagu — a panna i ładna i dobrze wychowana, niby nasza hrabianka, ba nawet i więcéj — bo lepiéj gada po francuzku i mniéj ma grymasów. —Nie mówię to dla tego, abym się tu chciał żenić — nie — ale ot tak, aby mówić. Wszakże mi żonę hodujecie, a możeście tam już jaką schludną dziewczynę opatrzyli? Dla majątku żenić się nie myślę, bo ów, co się z wielkiego stanu ożenił, nie może być inaczéj, aby wzdy majątku swego jako-tako przyniewolić nie miał, bo już i większym kosztem, i w większéj powadze, i w większéj godności onę miłościwą chować musi, niżeli powinien wedle mienia swego. Już czerwony rząd mu-

si być na woźniki, a niedzwiedzie do kolan, a kobierce z kolebki wywieszaj z obu stron. Już dwie służbiste, a trzecia co-by im kwokała. Już ściany obić musi, już z półmiska precz kapusta. Przyjdzie gość, już go w większéj ceremonii chować musi, bo już musi być wino i z Bożą-męką malowana szklanica, i kasza ryżowa na wieczerzę, bo się już nasz jęczmień dla pani nie godzi. —

Jeżlibym w tym poczciwym stanie żywot mój chciał postanowić, to szukałbym sobie połowicy stanika sobie równego, wychowania a ćwiczenia roztropnego, obyczajów nadobnych, wstydliwych, a posagu wzdy jak może być największego. Bo powiadają, że to są przysmaki dobrego ożenienia, uroda, obyczaje, a przyjaciele posag. —

Bo to sobie każdy snadnie zważyć może, jakie rozkosze, jakie miłe przypadki z takiego wzdzięcznego stanu każdemu przypadać mogą! Już przygoda, już choroba, już każdy niedostatek lepszy być musi niżli komu innemu. Nuż zasię w domku sobie mieszkając, taki poczciwy staniczek, azasz mało rozkoszek swych nadobnych pomiernie użyć może, azasz sobie nie mają onych nadobnych przechadzek po sadkach. po ogródkach, już oboje grzebią, ochędażają, oprawiają, szczepią, ziółeczka sadzą, ano wszystko sporo, ano się wszystkiego z wielką ochotą i dozierać, i o wszystko starać się chce. —

Nuż, gdy jeszcze owi przyrodzeni błazeńkowie, owe to dziatuszki wdzięczne przypadną, gdy jako ptaszątka koło stołu biegając swiergocą a wesoło kuglują — już jedno weźmie a drugiemu poda. A ono, gdy już pocznie mówić, lada co bełkoce, a przecie mu nadobnie to przystoi — jak to jest roskosznie, a jaka pociecha! —

Ale by sobie taką połowicę utrafić, potrzeba mi siła doświadczenia a rozwagi, potrzeba pewnego sojuszu temperamentów, a temperamentu u kobiéty nie tak się snadno dowiedzieć, bo u mężczyzny to najsnadniéj poznawać, kiedy jest pijany, bo koleryk wnet z myślą swą w górę wzleci, chce być hetmanem, a choć

nic nié ma, przecież się sobie panem zda. — Krewnik zasię (czyli temperamentu krwistego) wesół, skacze, miluje, ściska, dałby bardzo rad każdemu, by jedno co miał. — Melancholik zasię lamentuje, wszystko mu nie wczas, wszystko mu się krzywdą widzi.— A flegmatyk zasię, chrapie, sapie, spi, a na brzuch pluje, a przecie i omackiem kufla podle siebie maca. —

Szymon to sobie powinien dobrze odczytać, bo może się on tam kwapi powoli do tego staniczka.

Ale już dosyć tych bredni, i tak może Was znudziłem — jednakże nie sposób zawsze mówić o professorach, o nauce — a mnie to tak jeszcze trudno oderwać się od pisania, kiedy do Was piszę — Pisałbym Bóg wié dokąd, i sam już nie wiem co, bo to do Wisek, bo to do Was, do ukochanych moich piszę. Chciałbym o wszystkiem napisać, co widziałem, co mnie uderzyło, co smutek lub radość przyniosło. O jakież to będą nasze rozmowy i pogadanki, za zobaczeniem się?! —

Kronika Piśmiennicza
POLSKA.

319. Farmacya:

Przez Dra Teodora Heinrich, Radzcę farmaceutycznego w Radzie Lekarskiéj Królestwa, b. Professora Chemii Agronomicznéj i członka honorowego Towarzystw uczonych w St. Petersburgu, Moskwie, Wilnie, Berlinie i Jenie, kawalera Orderu So Stanisława 3ciéj klassy, właściciela Apteki w Warszawie, i Szymona Fabian, Magistra farmacyi i właściciela Apteki w Nowym-Dworze, wydana. — Tom I. zawiérający początki Botaniki i Farmakologiją, str. 456. T. II zawiérający część praktyczno-chemiczną, str. 476 (wydane w drukarni Łątkiewicza 1835 r.) T. III zawierający dalszy ciąg Farmacyi w r. 1835 wydanéj, str. 220. W ósemce. Nakładem Autorów. W Warszawie, w drukarni pod firmą Chmielewskiego. 1844 r.

Wszystkie niemal narody oświecone, mają we własnych swoich językach wypracowywane dzieła naukowe w przedmiotach rozlicznych. To staje się powodem, iż nauki mogą się upowszechnić, czyli jak mówią upopularyzować. Narzekanie u nas, iż nie mamy dzieł popularnych, poniekąd. jakiś czas było słusznèm. Młodzi bowiem, szczególniéj dobrze nieznający obcych języków, nie tylko, że z dzieł zagranicznych w tych przedmiotach, którym się poświęcają, nie potrafią prawdziwego odnieść pożytku, ale nawet często, nauczywszy się trochę tłumaczyć z pomocą słownika, nie umieją wybrać sobie najlepszego dzieła w tym języku, którego się nieco poznawać nauczyli. Stąd konieczna potrzeba dobrego przewodnika;

ztąd niezbędną jest rzeczą, mieć dobre dzieło pod ręką, w języku właściwym, krajowym. Nic tu nie pomogą notatki, nawet akademickie, ze słuchanych, choćby jak najkorzystniéj, kursów. Nauki bowiem postępują. Wynalazki, badania, nowe talenta i nowi pracownicy, coraz posuwają umiejętności na wyższy stopień, coraz bardziéj rozszerzają obręb ich dziedziny. Wielu wprawdzie jest i takich, co raz stanąwszy na jakimś punkcie widzenia, ani na krok daléj ruszyć się nie chcą, czy nie mogą. Tacy, jakby nie żyli w bieżącym wieku, w toku postępowym, na drodze lepszości. Zaglądają we wspomnienia dawniejszych czasów. A znalazłszy w seksternach prelekcyjnych, że *wtedy-to-a-wtedy*, jakiś tam professor powiedział, że dzieło tego autora jest dobrém, biorą je natychmiast do ręki. Zapominają, że po owym pisarzu, już może kilkanaście dzieł daleko lepszych wyszło. Oni radzi są jednak ze swych notatek — i ciągle powtarzają: „A! to dzieło jest najlepsze!" Chwalą je zaś dla tego, że w tym autorze, zupełne odbicie swéj umysłowości widzą. Taka stagnacija im się podoba; gdyż, nowsze dzieła, gdyby wzięli do ręki, możeby musieli wtedy z wyrzeczeniem się miłości własnéj powiedziéć, że nie wiele umieją! że nauka, od czasu ich prelekcyj, niezmiernie olbrzymi uczyniła postęp. Od takiego *praktykanta*, (których, dałby los, abyśmy jak najmniéj mieli) czyż się dowié młody człowiek, jaki ma uczynić wybór autora? Dla tegośmy więc powiedzieli, że nieodbitą jest potrzeba dobrego przewodnika, lub w jego niedostatku, takiego dzieła, któreby i samego przewodnika i dobry dzieła wybór, zastąpiło.

Nie możemy się uskarzać, aby u nas nie dostawało potrzebnych, i czujących się *po temu* na siłach, pracowników. Lecz środki często stają na zawadzie. W iluż-to przedmiotach, w naukach ścisłych, a nawet i w naukach stosownych, wyszło dzieł w samém Wilnie? Warszawa zaraz idzie po niém, a w niektórych nawet względach przewyższa Wilno, jeżeli nie jakością, to ilością, jeśli nie rzeczami oryginalnémi,

to przynajmniéj przekładami. Inne miasta, Poznań, Lwów i t. d. mniéj daleko wydały, niż Warszawa lub Wilno, pojedynczo wzięte. Lecz wszędzie napotkać się nieraz daje dzieło jakieś zaczęte, a późniéj, mimo chęci nawet autorów, nieskończone. Tak *np. Chemija* Fonberga, jakkolwiek na swój czas najlepsza u nas i najobszerniéjsza (bo grube trzy tomy wielkiego pokroju, w piérwszéj dopiéro mieści się części), jednak tylko połowa ledwo jéj wyszła z druku, to jest *nieorganiczna*. Dziś, choćby Autor i wydał ciąg dalszy; piérwsza już nie mogłaby stanowić zupełnéj całości z drugą, gdyż, musiałaby zupełnie już być przerobioną. Ileż bowiem odkryć w takiéj nauce, przynosi z sobą lat piętnaście! Chemija znowu *organiczna*, nie tłumaczona, ale tylko podług Liebiga ułożona, od Autora znanego powszechnie ze swéj głębokiéj nauki — jednak-że po wyjściu dwóch zeszytów, jeszcześmy nie ujrzeli dalszych, lubo wszyscy dotąd z największą oczekują niecierpliwością. Pokazuje się oczywiście z bardzo wielu podobnych przykładów, że równe są przeszkody i trudności w wydaniu, jak i potrzeba dzieł naukowych. Rzadko u nas ma pokup książka, jak to mówią, *cięższéj* treści. Ztąd Autorowie muszą wiele bardzo tracić *a priori* kosztów, nie będąc pewni, czy może dzieło przez nich wydane, nie mówimy już przynieść jakiekolwiek korzyści, (bo ludzie uczeni prawdziwie na to nie patrzą), ale przynajmniéj choć *a posteriori* zwrócić im własny nakład? księgarz snadniéj i rychléj nabędzie jakąś książkę lekką, romans, powieść lub choćby wreście *Anegdoty;* ale pism *naukowych*, ani za gotowe pieniądze nie kupi, nawet już po wytłoczeniu, ani témbardziéj łożyć kosztów na wydanie zwykle się nie odważa. Przyjmuje tylko podobne dzieła w *komis;* a tu tymczasem trzeba zapłacić papiér, druk, introligatora i t. p. Trzeba odstąpić znaczny procent księgarzom; trzeba zniżyć cenę prenumeratorom, a kupujących jak nié ma, tak nié ma. Otoż to zawady napotykane w wydawaniu dzieł treści głębszéj, naukowéj! Dzięki więc tym, którzy

niebacząc na materijalne zyski, odważają się tracić znaczne nakłady na wydanie pism podobnéj treści. Kronika *Przeglądu*, w liczbie trzechset kilkudziesięciu książek, o których wspomniała, wymieniła téż wiele pism podobnych, których wydaniem zajęli się ludzie oddani naukom. Do nich i obecne, o którém mówimy, należy dzieło.

Już lat 30 minęło, od czasu wydania podobnéj książki w języku polskim. Tymczasem nauki złączone z Farmaciją, przez ten czas znacznie odkryciami, wynalazkami, posunione zostały. I nowego więc dzieła farmaceutycznego, nieodbita czuć się dawała potrzeba. Zaradzili téj konieczności, dwaj światli, a bezinteresowni mężowie. Wiedząc, że część praktyczna, potrzebniejszą jest dla kształcących się w tym zawodzie, ją piérwéj wydali. Tu, oprócz zwykłych farmaceutycznych działań, bądź mechanicznych, bądź chemicznych, i rysu Chemii ogólnéj, wyłożyli zasady Stoechiometryi. Daléj ciągnie się mowa o ciałach pojedyńczych niemetallicznych, niemnéj jak i o ich związkach. Potém następują metalle, kwasy, sole, sposoby robienia *przetworów* (preparatów) farmaceutycznych, jakiemi są *extracta*, *tincturae*, *species* i t. d. Na czele dzieła mieści się nauka o surowych lekach *(in crudo)*, czyli Farmakologija. W tomie Iszym nie tylko są wyłożone umiejętności z trzech przyrody królestw, t. j. żwierzęcego, roślinnego i mineralnego, ale nadto i *Chemija roslinna*, tak jak przy *Farmacyi*, położona teorija działań ciał *nieorganicznych* (po większéj części podług Berzeliusza). Rzecz jest godna pochwały, iż przy każdym niemal artykule, prócz nomenklatury systematycznéj łacińskiéj i nazwy polskiéj, położone są miana francuskie i niemieckie. Ważném i to także nazwać wypada, że autorowie, nie idąc za przykładem innych wydawców, którzy polegają na czyichkolwiek podaniach, sami pokilkakroć doświadczali każdego sposobu farmaceutycznego, nim go za pewny lub dobry dla czytelników uznali. To dzieło zatém, obok teoryi, zaleca się należném wypracowaniem praktyczném. Ponie-

waż zaś w ciągu ostatnich lat kilku, Chemija, a następnie i Farmacija, nowemi wzbogaconą została odkryciami, przeto wydawcy dodali w tym roku Tom 3ci, objaśniający czytelników z postępem nauki; a nadto gdy w całéj Franczyi po aptekach do oznaczeniailości ciał wprowadzono wagę dziesiętną i we wszystkich rezultatach chemicznych do oznaczenia wypadków jéj używają, wychodząc przeto z téj zasady ułożyli w końcu tego tomu tablice wykazujące porównanie wagi téj z wagą polską rozmaitych zastosowaniach. —Słuszną zdaje się jest rzeczą, aby inni uczeni nasi, którzy obszerniejsze, kilko-tomowe wydają dzieła, uzupełniali je co lat kilka, nowo-postępowémi rzeczami. Kiedy trudność jest bowiem wielka w tłoczeniu dzieł coraz świeższych treści naukowéj, powinniśmy tę trudność jakiemi bądź ułatwiać środkami — i gdy niemożność zachodzi całkowitego przerobienia dzieła, — choć sprostowania i nowe wynalazki przynajmniéj, w oddzielnyeh wartałoby broszurach wydawać. —

320. **Smierć i odrodzenie:** H. Sk.

Opowiadanie psychologiczne, wydał Józef Przecławski. Wilno. Nakład i druk T. Glücksberga 1844, w ósémce większé str. 116. — Przedmowa od wydawcy. —

Smierć i odrodzenie: opowiadanie psychologicznej Z autobiografii czysto-umysłowéj, epizod piérwszy, z godłem: „Cechą charakterystyczną działań opatrzności jest największa prostota środków.“ Przytém z oddzielnym tytułem i osobném liczbowaniem:

Pamiętniki rozumowane. Zbiorek 1, wydał Józef Przecławski. Wilno, nakład i druk T. Glücksberga 1844 r. z przedmową. Str. 154. (Cena złp. 12).

Autor niniejszego pisma, jest już oddawna Redaktorem i wydawcą *Tygodnika Petersburskiego*, pisma czasowego, które od lat piętnastu wychodzi w stolicy Rossyi. Czytywaliśmy nieraz w piśmie jego, częściowo umieszczane wyjątki z *Pamiętników rozumowanych*, które tu podał w XLV urywkach. Daléj *Domysły o przyszłości rodzaju ludzkiego*, w pięciu oderwanych zawarte uwagach, spowodowały odpowiedź na kry-

tykę nadesłaną Redakcyi Tygodnika, którą wydawca umieścił od str. 132 — 147, z dorzuceniem XII ucinków. W przemowie do piérwszego pisemka *Śmierć i odrodzenie*, które autor wytłoczył razem z *Pamiętnikami rozumowanemi*, powiada, że pomiędzy towarzyszami jego młodości, był Hieronim L......., którego od sposobu myślenia nazywa D y n a m a t e i s t ą. Ten zmienia nagle swój sposób myślenia i charakteru, Po kilku latach wyjeżdżając za granicę na zawsze, oddaje przy pożegnaniu *plikę* swoich rękopismów, które jak powiadał, miały objaśnić całą zagadkę. Piérwsza rzecz co wpadła w ręce redaktora, było jego opowiadanie psychologiczne: Ś m i e r ć i o d r o d z e n i e, gdzie istotnie, powiada Wydawca, znalazłem całą historiją jego poprzedniego stanu i dziwnego nawrócenia. Zważając na gruntowny rozbiór wielu rzeczy, łudzących zwykle naszę młodzież, i razem na pomyślne zakończenie, zdało mi się, że upowszechnienie tego pisma, nie byłoby bez pożytku. Z tego powodu ośmieliłem się podać do druku niektóre rękopisma mojego przyjaciela."— Otoż powód ogłoszenia tego w duchu katolickim skreślonego przejścia z odrętwienia, z niewiary, do wiary, do życia. Czy autor tego pisma żył lub żyje, czy tylko jest w rozbujałéj stworzony wyobraźni?— wszystko nam jedno, gdyż wypada cenić treść samą i przedmiot, a nie osobę, według własnego aforyzmu autora (na str. 80)! „Sądy o książkach byłyby nieskończenie sprawiedliwsze, gdyby ludzie choć na chwilę, mogli się otrząsnąć ze swego J a, lub gdyby przynajmniéj rozbierali dzieła ze względem na siebie samych. Śmiało powiedzieć można, że w dziewięćdziesięciu dziewięciu razach na stu, przyczyna dla któréj książka złą się lub dobrą wydaje, znajduje się w samym krytyku!" — A więc bądźcie sami krytykami szanowni czytelnicy nasi! — Dodamy tylko, że z podobnych myśli, składa się cała ta encyklopedija zdań i uwag, do których przedmowę, kończy wydawca słowami: „Za tym piérwszym zbiorkiem, nastąpią pewnie dalsze; w tych, śród aforyzmów, spodziewam się umieścić kilka przydłuższych rozpraw, do rozmaitych przedmiotów." —